

MROK
WE KRWI

KRONIKI DWUŚWIATA

PAWEŁ KOPIJER

MROK WE KRWI

TOM I

Gliwice 2019

[Kup książkę](#)

Kroniki Dwuświata
Mrok we krwi, Tom I

Copyright © by Paweł Kopijer, Gliwice 2019
Copyright © by PANKO company

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Ilustracja na okładkę: Tomasz Ryger
Opracowanie graficzne i projekt okładki: Anna Kopijer
Redakcja i korekta: Zyszcza.pl Paulina Zyszcza

Skład: KMSTUDIO Agencja Wydawniczo-Reklamowa
kmstudio@poczta.fm

Wydanie I
Gliwice 2019
Firma PANKO
ISBN: 978-83-954658-0-2

*Lei Satanas makre des torri...
Pozwól Złemu kroczyć jego ścieżką...*

(Słowa modlitwy darzańskich szamanów)

CZAS ROZŁAMU

Era Lwa, rok 397, ostatni

Padło wyjątkowo mocno. Przyczajony za grubym drzewem mężczyzna przetarł wilgotną, zimną twarz wierzchem dłoni. Był przemoknięty mimo peleryny z kapturem. Krople wody kapały mu z grubych, gęstych brwi i z czubka zniekształconego złamaniami nosa, łaskotały, spływając po lekko zarośniętej, poznaczonej bliznami brodzie.

„Mroczni nadali taką ulewę” – przeklął w duchu.

Las, przez który się do tej pory przemieszczał, dawał niestety niewielką osłonę przed szalejącą nawałnicą. Błyskawice przecinały nocne niebo raz za razem, sprawiając, że polana, na której skraj właśnie dotarł, rozświeślała się zaledwie na mgnienie oka i znów pograżała w ciemności. Skupiony bandyta próbował ocenić sytuację wokół sporego, osłoniętego specjalnymi płótnami szałas. Usiłował dojrzeć, ilu i jakich wędrowców skrywało się wewnątrz. Prowizoryczne schronienie wyglądało na typowe dla tych, którzy często podróżują po leśnych traktach. Przez targane wiatrem gałęzie dostrzegał w środku migotliwe światło małego ogniska i kilka niewyraźnych sylwetek. Co do jednego wątpliwości nie miał. To byli Darzanie.

Huk wyładowań momentami prawie zlewał się w jeden łoskot. Nie mogło być więc mowy o tym, by obecność intruza została od-

kryta na czas przez wartownika – jeśli w ogóle jakiś tu był. Podobne sytuacje zwykle oceniał jako sprzyjające. Ale dziś było inaczej. Jakoś dziwnie. Nie czuł dobrze mu znanych emocji zazwyczaj towarzyszących takim okazjom. Z reguły była to swoista mieszanina podekscytowania, rozpalonej wyobraźnią chciwości i chłodnego wyrachowania. Teraz doświadczał jedynie nieprzyjemnego niepokoju pełzającego mu z żołądka do gardła i z powrotem. Nie wiedział dlaczego, ale miał silne przeczucie, że dzieje się coś szczególnego, ważnego i obcego mu, coś, co budziło w nim niezrozumiały strach. Idiotyczne wrażenie znalezienia się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie mocno irytowało. Najbardziej zaskakujące jednak było to, że mimo wielu lat życia na marginesie społeczeństwa, podczas których wyrobił w sobie żelazny mechanizm samokontroli, teraz nic nie mógł na to poradzić. „Może to jednak nie jest dobry dzień na szybkie wzbogacenie się?” – w jego umyśle znowu pojawiła się męcząca wątpliwość.

Oblizał nerwowo mokre od deszczu wargi i zmusił się do rozsądnego myślenia.

„Na wielki łup nie mam co liczyć, to pewne, ale długi po ostatniej wizycie w melinie Karczocho trzeba szybko oddać” – rozważał. Zbyt dobrze znał tych, którym zalegał należne, i wiedział, że przeciąganie struny oznacza pewną śmierć i to zupełnie inną od tej, którą mógłby sobie wymarzyć.

„Na dodatek czasy mi sprzyjają, Wielki Król od miesięcy ugania się z całą armią za jakimiś tam durnymi najeźdźcami, więc miejscowy lord służący pod królewskimi sztandarami musiał zostawić zamek pod opieką synalka gołowąsa. Wojna to w ogóle korzystny czas dla takiego jak ja... rzemieślnika” – pomyślał, mimowolnie się uśmiechając.

– No, stary, kto nie ryzykuje, temu w pas się nie kłaniają – mruknął do siebie jak zawsze. Sprawdził jeszcze raz umocowanie noży rozmieszczonych tak, by były pod ręką niezależnie od sytuacji,

i ruszył w stronę łatwej zdobyczy. Łatwej, bo w taką pogodę zaskoczenie było pewne, a pokonanie grupki bab i gamoni z podgórskich osad – oczywiste. Cóż mogłoby przeszkodzić w ograbieniu nieszkodliwych Darzan słynnemu Czernemu ze Stróbieży, jednemu z najgroźniejszych bandziorów w tej okolicy?

Grzmoty i ulewa bębniąca falami w materiałowe ściany szale su zagłuszały krzyki rodzącej kobiety. Długie miesiące walczyła o utrzymanie się przy życiu, choć ból i cierpienie dawno już przeniosły ją w świat obłądu. Uczepiona jednej myśli, jednego pragnienia, brnęła przez męczarnie trawiące jej ciało i umysł. Za wszelką cenę starała się dotrzeć do momentu rozwiązania i tylko to się liczyło.

– Tatko, czy ta pani... czy jak ona urodzi, to już będzie jej dobrze? – Jasnowłosa dziewczynka kurczowo trzymała się poły ojcowskiej kurtki, stojąc przytulona do jego boku.

– Nie wiem tego, moja ptaszyno. – Wysoki, szpakowaty Darzan pogładził delikatnie małą po głowie i uśmiechnął się ciepło. Zazwyczaj wolał mówić prawdę, nawet jeśli była trudna, ale patrząc na smutek i współczucie malujące się na delikatnej twarzyczce córki, pomyślał, że powinien w jakiś sposób wlać otuchę w jej serce. – Ale za to wiem, że nasza Mge to najlepsza opiekunka rodzących, jaką znam, zatem bądźmy dobrej myśli.

„Właśnie, bądźmy” – złapał się sam na braku optymizmu. Może to jednak płód był przyczyną choroby, choćby pośrednio. Przecież znaki podczas rytuału oczyszczania i aura wokół obłąkanej nie wskazywały jednoznacznie, że to właśnie ta majacząca od tygodni kobieta jest naznaczona mrokiem, a nie akurat to, co miało wyjść z jej łona. Tego nie dałoby się wiarygodnie ocenić przed porodem. Na moment powróciło wspomnienie parzącej umysł mocy, której uderzenia doznał, gdy próbował z uzdrowicielką dotknąć ducha ciężarnej. „Gdyby tylko ta moc nie była nasączona aż tak odrażającą

skazą” – westchnął w myślach. Na samo wspomnienie tamtej chwili przyływ optymizmu natychmiast wyparował.

Burza niespodziewanie przybrała na sile. Serce rodzącej uderzyło ostatni raz i zamarło. Gdy stara Darzanka zgodnie ze zwyczajem zaczęła nucić pieśń pożegnania, by wskazać uwolnionej duszy ścieżkę światła, potężny piorun trafił niedaleko leśnego schronienia. Wielki konar odłupany nagle od pobliskiego drzewa zmiażdżył skradającego się za nim człowieka.

Starszy mężczyzna przewodzący grupie wędrujących Darzan nagle zeszytniał z zaskoczenia. Całym sobą czuł teraz powstałe niespodziewanie wiry mocy kłębiące się w otoczeniu ich szalasu. Punktem centralnym kumulującej się niesamowitej ilości energii wydawało się potomstwo nieznajomej kobiety, troskliwie owijane w chusty. Podszedł bliżej posłania zmarłej i pochylił się, by zamknąć jej powieki. Zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie twarzy. Do tej pory widział w niej jedynie odstraszającą maskę szaleństwa, nienaturalnie pomarszczoną i wykrzywioną z obłąkanym spojrzeniem oczu stale będących w ruchu. Teraz wyglądała całkiem inaczej, zupełnie jak inna osoba. Rysy wygładziły się, zastygłe spojrzenie wypełniały spokój, ulga i... tak, musiał przyznać, że widział w nim głębokie szczęście. Coś w tym obliczu zaczęło wydawać się znajome, przywoływało wspomnienia, zapamiętane sytuacje. Powoli docierało do jego świadomości, że kojarzy je doskonale. Znał tę osobę, jej imię i historię.

– Na Najświętszy Ród i Błogosławioną Krew Ogromirów... – wyszeptał do siebie z nagle ściśniętym gardłem. Poczuł, jak cały jego świat tonie w narastającej rozpacz i przerażeniu.

* * *

WYSPA ORIN

Era Miecza, rok 17

I. Test ostatecznego przejścia

Test ostatecznego przejścia nosił swoją nazwę nie bez powodu. Zadania przydzielane uczniom przez Najstarszego na zakończenie ich procesu nauki i dojrzewania do wyjątkowej roli w społeczności Darzan stawały się nie tylko egzaminem do zdania, ale też prawdziwie śmiertelnym wyzwaniem. Prawie z każdego naboru któryś uczeń kończył próbę uzyskania tytułu szamana śmiercią lub ciężkimi obrażeniami.

Dla Skry, siedemnastoletniej córki kowala i zielarki z klanu Quaistas, zaskakującą trudnością ostatniego z testów okazała się również sama bezczynność oczekiwania. Nie miała wprawdzie porywczej natury, choć z pewnością należała do osób energicznych, szybkich w działaniu i poświęcających się w pełni temu, do czego się brały, ale dziś był wyjątkowy dzień. Wykonanie wyznaczonego zadania otwierało przed nią całkiem nowe, upragnione życie. Życie, o którym marzyła właściwie od dawna, podobnie jak prawie wszystkie dzieciaki w wiosce, również te, które nie okazały się wystarczająco obdarzone. Odbycie siedmioletniej służby u Najstarszego, oprócz prawa do pełnienia funkcji oficjalnego Szarim i związanego z tym uznania w społeczności Darzan, dawało też szansę

na wytęskniony powrót do rodziców, przyjaciół i normalności. Dla młodziutkich adeptów magii okres nauki u Najstarszego był zazwyczaj traumatycznym etapem życia, podczas którego dziecięce marzenia wypalały się w bólu, wyrzeczeniach, strachu i niewiarygodnym wysiłku.

Lata spędzane głównie pod ziemią, w systemie niezliczonych korytarzy i grot, na odciętej od kontynentu wyspie, jedynie w gronie kilkunastu uczniów i ich nauczycieli, odciskały niezatarte piętno. Był to czas całkowicie poświęcany niezwykle intensywnym ćwiczeniom umysłu i ciała, w trakcie których kandydaci, często jeszcze dzieci, przekuwani byli w ponad wiek dorosłych i odpowiedzialnych qi-szamanów – szamanów nowicjuszy. Nie było tu miejsca ani na zabawę, ani na jakąkolwiek słabość. Żaden z mentorów, czy tym bardziej mądrych, nie tolerował nie tylko wybryków i nieposłuszeństwa, ale także zbyt słabej woli, niedostatecznej determinacji i niewystarczającego poświęcenia. Morderczy reżim nauki na wyspie Orin dla niektórych obdarzonych okazywał się zbyt trudny. Odsyłani do rodzinnych wiosek, najczęściej stawali się pohańbionymi wyrzutkami, tak zwanymi kage, winnymi w oczach własnej społeczności zmarnowanej szansy dla całego klanu i zaprzepaszczenia wielkiego daru od losu. O takich mówiono: „lepiej urodzić się nieobdarzonym, niż wrócić z Orin wyrzuconym”.

Dzisiejszy dzień otwierał przed dziewczyną długo wyczekiwaną okazję, by nie wrócić już do Najstarszego jako uczeń. Dlatego Skra szczególnie dziś chciałaby po prostu działać, a nie siedzieć całymi godzinami w przygotowanej przez siebie kryjówce w głównych konarach dużego, rozłożystego drzewa akabrowego. Jednak wyczekiwanie w całkowitym bezruchu było niestety jedynym jej znanym sposobem na wypełnienie pierwszej części swojego przejścia. Upolowanie górskiego lotarda, zwanego też panterakiem królewskim, graniczyło z cudem i nawet wykorzystanie połączonych umiejętności łowcy, maga i wojownika nie dawało realnych szans na uniesz-

kodliwienie kota. Jedynie dodanie do tych wszystkich zdobytych ciężkim treningiem i nauką zdolności własnej intuicji i pomysłowości mogło przynieść sukces.

Typowy panterak, jeden z najgroźniejszych przedstawicieli rodziny kotowatych, był właściwie pozbawiony słabych punktów. Prawie osiemdziesiąt kilogramów mięśni dających siłę, zwinność i szybkość, doskonały słuch, węch i wzrok czyniły z niego prawdziwego króla wyspy, a z pewnością jej górzystych terenów. Drapieżnik, potrafiący wspinać się na drzewa, jednym susem przeskoczyć szeroki strumień lub bez problemu go przepłynąć czy przejść po wąziutkim ustępie skalnym, nie miał wielu godnych przeciwników.

Jednak górski lotard, rzadki podgatunek występujący wyłącznie na Orin, miał jeszcze jedną wyjątkową cechę: był całkowicie odporny na magię. Dla ludzi z kontynentu nie grałoby to wprawdzie żadnej roli, bo magia od początku panowania rodu Ogromirów była całkowicie zakazana i blokowana, ale dla Skry, darzańskiej kandydatki na szamankę, miało to niebagatelne znaczenie. Dla niej kolosalna była różnica między dziecinnie prostym zaklęciem obezwładniającym, które załatwiłoby zwykłego panteraka bez większego problemu, a zmierzeniem się z dziką furią najgroźniejszego zwierzęcia wyłącznie przy pomocy swoich marnych metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu i żalosnych sześćdziesięciu kilku kilogramów wagi. Mimo lat doprowadzania swojego ciała do niespotykanej dla zwykłych ludzi kondycji w fizycznym starciu nie miała żadnych szans. Mogła jednak wykonać zadanie, wykorzystując informacje zdobyte podczas tysięcy godzin ślęczenia nad zwojami i starymi księgami. Bezценne okazywały się też dziesiątki wieczorów przegadanych z Eliasem, jednym z mądrych przekazujących uczniom zdobytą przez jej lud starożytną wiedzę.

Kolejny raz wykonała rutynowe ćwiczenia oddechowe, rozluźniając zeszytywniałe i obolałe już ciało. Jej plan był właściwie bardzo prosty. Może dlatego, że proste rozwiązania zawsze kojarzyły się jej

z czymś bezpiecznym i skutecznym. A może dlatego, że w tym przypadku nic innego nie przychodziło jej do głowy. Tak czy inaczej, dzięki sporemu zorientowaniu w temacie zwyczajów panteraków dość szybko odnalazła odwiedzane przez nie miejsce wodopoju, dostatecznie dogodne, by z bezpiecznej odległości kilkudziesięciu kroków móc trafić strzałką kurrari. Prostej budowy rurka miotała małe nasączone trucizną pociski wystarczająco celnie i mocno, jeśli miało się lata treningu za sobą. Ponieważ za zadanie miała tylko zdobyć odpowiednią ilość będącego źródłem magicznej odporności futra, nie planowała zwierzęcia zabić, lecz jedynie uśpić. Było jej żal tych wspaniałych istot, podobnie jak wszystkich innych, a na samą myśl o uśmiercaniu jakiegokolwiek stworzenia robiło jej się strasznie źle i smutno. Niestety, walka stanowiła jedną z czterech głównych umiejętności, które w niej rozwijano i których społeczeństwo Darzan oczekiwało od swoich Szarim. Byli oni zarówno przewodnikami, reprezentantami, lekarzami, jak i obrońcami całego ludu, dlatego ich życiem w naturalny sposób musiało kierować pełne poświęcenie się służbie. Ogromne uznanie i przywileje rodzące równie ogromną odpowiedzialność i wyrzeczenia.

Gorący, słoneczny dzień z jednej strony był jej sprzymierzeńcem, ale z drugiej zamieniał czas oczekiwania w prawdziwy koszmar. Polując na lotarda, musiała oszukać nie tylko jego wzrok i słuch, ale również węch. Cierpiała więc długie godziny zarówno za sprawą tkwienia w całkowitym bezruchu w niewygodnej pozycji, jak i z powodu okropnego swędzenia. Źródłem udręki był lepki, mocno aromatyczny sok uzyskiwany z krzewów zapachowca pokrywający od rana całe jej ciało. Słyszając z intensywnego zapachu substancję dokładnie wsmarowała w dosłownie każdy fragment skóry, poza tym wypila sporą ilość soku w ramach przygotowania do zadania. Generalnie woń była miła, ale taka jej koncentracja powodowała zawroty głowy i mdłości.

Kot pojawił się na ścieżce zupełnie niespodziewanie. Przeszedł kilka kroków w stronę strumienia i stanął. Skra widziała tylko, jak

osobnik lekko porusza uszami, sprawdzając, czy w otaczającej go gamie dźwięków nie ma czegoś niepokojącego. Z pewnością badał też okolicę, wchłaniając wszystkie zapachy, ale z tej odległości nie mogła dojrzeć drgających nozdrzy. Czas płynął, a lotard wciąż tkwił w miejscu, rozglądając się leniwie, zupełnie jakby analizował coś istotnego.

„Gdybym miała twoje możliwości, byłabym znacznie pewniejsza siebie” – pomyślała. Dziewczyna pozazdrościła drapieżnikowi. Musiała przyznać rację Eliasowi, który kiedyś powiedział, że słuchać o tym mitycznym stworzeniu to jedno, a móc zobaczyć je na własne oczy to drugie. Kiedy w końcu zwierzę nieśpiesznie ruszyło dalej, nie mogła oderwać wzroku, zafascynowana gracją ruchu i potęgą mięśni czającą się pod połyskliwym granatowoczarnym futrem.

Miała to zrobić jedynie w ostateczności, ale nie wytrzymała i rozgryzła trzymaną w ustach kulkę. Gorzki, charakterystyczny smak narkotyku rozlał się po gardle.

„To tak na wszelki wypadek” – starała się usprawiedliwić strach, który nagle rozpanoszył się w jej umyśle. Przywołała mentalne afirmacje i skoncentrowała się na swoim planie.

Lotard dotarł spokojnie do brzegu. Przez chwilę jeszcze lustrował ścieżkę za sobą, jakby na kogoś czekając, a potem zaczął gasić pragnienie.

Pod wpływem wyostrającej zmysły substancji Skra widziała go teraz znacznie wyraźniej. Słyszała nawet cichy plusk wody zagarnianej językiem przez zwierzę, współgrający z głuchymi uderzeniami jej własnego serca i szumem krwi. Powoli, płynnie wydobyła z małej kieszeni strzałkę z niebieskim piórkiem i umieściła ją w niewygodnie długiej rurce. Oparła ją odległym końcem na jednej z gałęzi, tak jak to wcześniej ćwiczyła. Dystans na precyzyjny strzał nie był zbyt duży, ale dziewczyna wiedziała, że musi trafić w bardzo konkretne miejsce i to za pierwszym razem. Wyuczona koncentracja sprawiła, że wszystko dookoła znikło. Dla umysłu zostały tylko cel i ciało mające wykonać dobrze wytrenowany ruch.

Nabrała powietrze do płuc, odczekała długi moment, a potem mocno, ale zarazem delikatnie dmuchnęła w wąski otwór. Rozległ się lekki furkot. Drapieżnik fuknął zaskoczony i dziwnie podskoczył na czterech łapach.

Dalej wypadki potoczyły się już błyskawicznie. Lotard warczał i prychał, próbując nerwowo sięgnąć niebieskiego obiektu wbitego tuż przy kręgosłupie za karkiem. Strzałka znajdowała się poza zasięgiem jego pyska, a on był z tego powodu coraz bardziej wściekły. Już po kilku chwilach zaczął się chwiać, jego ruchy zrobiły się ociężałe.

„No, zaśnij, kotku, zaśnij sobie” – gdyby mogła, zanuciłaby mu kołysankę. Patrzyła na szybkie skutki działania przygotowanej przez siebie mikstury, a w jej sercu rodziła się już nadzieja na powodzenie planu bez komplikacji. Prosto, szybko, bezproblemowo. Gdy bestia w końcu upadła, było jasne, że środek usypiający okazał się wystarczająco skuteczny. Dziewczyna z westchnieniem przymknęła oczy, czując efekty nagromadzonej adrenaliny.

„Niepotrzebnie użyłam narkotyku” – zdążyła pomyśleć, gdy usłyszała charakterystyczne warknięcie. Spojrzała natychmiast w kierunku lotarda, ale ten wciąż leżał przy strumieniu bez ruchu. Do jej uszu dobiegło kolejne warczenie przeradzające się w ryk. Tym razem wiedziała, że trzeba spojrzeć w zupełnie inną stronę. W tym samym miejscu, w którym na ścieżce pojawił się pierwszy kot, stał teraz drugi. Był większy, o futrze bardziej przesyconym granatem. Odruchowo przełknęła ślinę w ogarniającym ją przerażeniu. Samiec patrzył prosto na nią. Obnażone kły i napięte mięśnie kazały jej zadziałać automatycznie.

Zręcznie sięgnęła do kieszonki, z której wystawało czarne piórko. Odchyliła się, by móc manewrować rurką. Kątem oka dostrzegła, że drapieżnik jest już w połowie drogi do niej. Widziała rozmazane susy, którymi pędziła w jej kierunku nieunikniona śmierć. Wycelowała instynktownie, jednocześnie szarpiąc ciałem w tył, za gruby konar, by oddzielić się od napastnika czymkolwiek. Nie

wiedziała, czy trafiła, nie było czasu na nic więcej niż wyciągnięcie noża darzańskiego łowcy. I wtedy zobaczyła kota na przeciwległej gałęzi. Zaatakował łapą, ale odruchowo zablokowała ją uzbrojoną ręką. Uderzenie wytrąciło jej nóż, a chwilę później poczuła kolejny, prawie równoległy cios zadany z drugiej strony w bark. Trafienie było tak silne, że zmiotło ją z drzewa. Spadając, zawadziła jeszcze o jeden z niższych konarów i łupnęła o ziemię. Ostatnim zapamiętanym wrażeniem był przeszywający ból.

Powracająca świadomość zarejestrowała uczucie wilgotnego i łaskoczącego dotyku na twarzy. Skra otworzyła oczy i wtedy coś rudego i futerkowego czmychnęło jej z głowy. Czyżby to był łasuch? Pierwsze myśli skłoniły ją do ruchu i wtedy nagle bark przypomniał jej, dlaczego leży na ziemi pod akabrowcem. Fala potwornego bólu sprawiła, że aż zrobiło jej się słabo. Wytrenowany umysł włączył jednak szybko tryb wojownika. Poczuła przypływ siły i spokoju, a palące doznanie lekko się wycofało. Na tyle, że mogła szybko ustalić swoje położenie.

„No tak, wciąż żyję, a więc samiec lotarda musiał zostać trafiony”. Rozejrzała się, delikatnie unosząc na łokciu i zaciskając zęby. Faktycznie, ciało samca leżało tuż przy samicy, na szczęście wciąż jeszcze uśpionej.

„Na Jasność, zabiłam jej partnera!” Skra poczuła się nad wyraz podle, wyobraziwszy sobie rozpacz zwierzęcia, gdy się obudzi. „Biedny kot, widocznie źle zinterpretował sytuację”. Za sprawą długich lat treningu głos rozsądku, brzmiący zupełnie niechcący jak głos Rejwana, rygorystycznego mentora walki, podsunął jej myśli, że zwierzęta, nawet mityczne, prawdopodobnie nie interpretują tego typu sytuacji, tylko działają instynktownie, i że jeśli ona nie pozwoli swojemu instynktowi natychmiast wziąć się w garść i skupić na zabezpieczeniu rany, wykonaniu zadania i zniknięciu z tego miejsca, w którym niebawem może spotkać drugiego przebudzone-

go i równie groźnego osobnika, sama może mieć kłopot z przetrwaniem. Jej autoironicznie zaprogramowany umysł wygenerował jeszcze komentarz, że w takiej sytuacji nie będzie miała wystarczająco czasu na dogłębne odżałowanie swojego czynu i rozważenie pełni jego podłości.

Dźwignęła się powoli, etapami: najpierw na kolana, przerwa, potem na nogi, przerwa i opanowanie zawrotu głowy, rzut oka na leżące niedaleko zwierzęta, wejście w stan qi, uruchomienie procesu magicznie wzmocnionego leczenia obrażeń i przyspieszonej regeneracji. Po chwili ruszyła ostrożnie w stronę ciała. Teraz była już skupiona wyłącznie na wykonaniu do końca zadania i na zapewnieniu sobie bezpieczeństwa. Reszta refleksji i odczuć musiała poczekać.

* * *

Dopiero wieczorem przy ognisku, siedząc nad resztkami symbolicznej kolacji, pozwoliła sobie na przemyślenia i analizę.

„Wygląda na to, że ten łasuch, liżąc mnie po twarzy, uratował mi życie” – przypomniała sobie, że gdy odchodziła, samica lotarda zaczynała się już powoli wybudzać. Gdyby nie on, mogłaby już nie mieć okazji odzyskać przytomności. Swoją drogą w ogóle miała wyjątkowe szczęście, upadając rozorany ciałem akurat w leżące pod drzewem liście. Przylgnęły do ciała szczelnie niczym opatrunek, spowolniły wykrwawianie się i dały organizmowi szansę na zasklepienie ran. Na samo wspomnienie widoku głębokich rozcięć, które z wielkim trudem oczyszczała nad strumieniem i zabezpieczała specjalnie nasączonym leczniczym opatrunkiem, aż się skrzywiła.

„No to piękne plecy już miałam” – skostatowała ze smutkiem. „Ale za to blizny dodają szamanowi prestiżu” – próbowała się pocieszyć.

Przeniosła się myślami do czasów sprzed naboru. Kiedyś taką sytuację uznałaby za tragedię. Była ładną dziewczyną, o nietypowej

dla Darzan urodzie, zwracała na siebie uwagę wszystkich w wiosce. Wyższa niż rówieśniczki, o smuklejszych kształtach, lekko pociągłej twarzy, gęstych, długich włosach koloru dojrzałego zboża i błękitnych oczach. Często słyszała: „jaka śliczna dziewczynka” albo „to szczęście dla rodziców, będzie z niej kiedyś atrakcyjna partia”. Miała przywileje nawet u chłopców, szczególnie tych parę lat starszych. Nieraz siadały z Nimą, najbliższą przyjaciółką, nad strumieniem i bawiły się w ocenianie poszczególnych młodych mężczyzn, śmiejąc się z ich wad i niby na poważnie naśladując zasłyszane rozmowy dorosłych kobiet, doceniając ich męskie walory. Wtedy w jej oczach prawie zawsze najlepiej wypadał Danil. Kilka lat starszy, wysoki, szczupły, ale mocno umięśniony, zawsze wygrywał pływackie zawody. No i te oczy koloru wody ze strumienia, którymi lustrował Skrę tak, że miała mrówki na skórze... Nima mówiła, że nie pasują do siebie, bo są jak dzień i noc. On o ciemnej karnacji, ona o jasnej skórze, nawet w lato opalającej się na jasny brąz, on spokojny i poważny nad wiek, a ona stale rozbawiona, pełna energii.

Złapała się na odczuciu, że te wszystkie migawki wspomnień z dzieciństwa wydają się jej strasznie odległe, zupełnie jakby od naboru minęło dwadzieścia, a nie siedem lat. Ile to razy w trakcie pobytu na wyspie zastanawiała się, co uległo zmianie w wiosce. Czy jej ojciec nadal ma problemy z Ryworem, czy młodszy brat Teo wydorósł już trochę i przestał być utrapieniem dla matki, czy Nima ma chłopaka? Wraz z kolejnymi latami mozolnego zagłębiania się w arkana magii i zwiększania odpowiedzialności, wpajanej boleśnie przez mentorów, stare bez troskie życie stawało się jednak bardziej odległe i obce.

„No, ale taka jest kolej rzeczy, jeśli jest się jedną z obdarzonych” – zacytowała w myślach swoich nauczycieli.

Zgodnie z darzańskim prawem obdarzone mocą dziecko zabierano na wyspę Orin na naukę do Najstarszego i – jeśli ją ukończyło i przeszło test – kraina Sid zyskiwała kolejnego Szarim. Jedyłą jego

misją było służyć interesowi plemienia Darzan i stać się powiernikiem ich heroicznego dziedzictwa zawartego w Wielkiej Przysiędze, złożonej pierwszemu królowi kontynentu. Posiadanie dobrze wyszkolonego szamana dla każdej wioski stanowiło źródło prestiżu i możliwości. Szamani byli dumą całego plemienia, esencją jego istoty. Oni jedyni mogli używać magii, to od nich zależało praktycznie wszystko, mimo że osadami w klanie na co dzień zarządzali wiodący.

Uśmiechnęła się mimowolnie, przypomniawszy sobie miny wszystkich, kiedy to właśnie ona jako jedyna w wiosce od wielu lat przeszła próbę mocy. Zawsze marzyła o magii, od malucha przyglądała się każdemu szamanowi, który akurat przebywał w okolicy. Nawet w zabawach udawała, że jest Szarim.

„A teraz dziecięce marzenia mają szansę stać się moją przyszłością” – jej myśli wróciły do kolejnego zadania, ostatniego, które dzieliło ją od możliwości wejścia do Sali Objawień. Czy to będzie faktycznie ten upragniony kres jej pobytu na wyspie, czy raczej dołączy do nieszczęśników, którzy na swoją okazję muszą zaczekać kolejny rok?

II. Księżycowy mech

Droga do Czułości Bez Dna nie była trudna, jeśli się ją znało z opisów i rycin oraz miało solidnie przemyślany plan. Dzień marszu, trochę pływania, trochę wspinaczki i stawało się nad krawędzią rozległej skalnej szczeliny. Prawdziwym wyzwaniem miało być dla Skry dopiero zejście w dół tak głęboko, aż dotrze do miejsca pokrytego księżycowym mchem. Tego nie dało się już zaplanować, bo słyszała, że żaden z nielicznych śmiałków, którzy się tam zapuścili i wrócili na powierzchnię, nie był w stanie później przekazać nic

poza nierealnymi opowieściami, stanowiącymi najprawdopodobniej efekt halucynacji.

Dziewczyna siedziała tuż nad rozpadliną, zapatrzona w mroczną nawet za dnia przepaść.

„Jesteś ostatnią przeszkodą dzielącą mnie od powrotu na kontynent. Pozwolisz mi zabrać garść twojego skarbu? Jak można zapewnić sobie twoją przychylność? Czy to w ogóle możliwe?” – w myślach rozmawiała z kimś lub czymś, co kryło w sobie istotę tego niebezpiecznego miejsca.

Elias często powtarzał, że Czeluść Bez Dna przenika prastara magia zrodzona przez samą naturę Orin. O tego rodzaju magii Skra wiedziała bardzo niewiele, bo nawet sam Najstarszy, gdy poruszało się ten temat, stawał się dziwnie mało mówny i najczęściej zbywał rozmówcę ogólnikami lub wręcz milczeniem. A przecież osobiście wybrał dla niej ten właśnie rodzaj testu. Odruchowo przesunęła uwierający ją w żebra flakonik ze świeżo przygotowaną miksturą kociej zwinności, który miała przekazać Najstarszemu jako dowód pokonania lotarda. W jej umyśle nagle rozjarzyło się skojarzenie: „Prastara magia wyspy Orin!”.

Wyciągnęła szklane naczynie i przyjrzała się mu w zamyśleniu. Czy to możliwe, żeby naturalna odporność lotarda na magię mogła jej zapewnić bezpieczeństwo tam, na dole? „No cóż, nie dowiem się, jeśli nie spróbuję. Właściwie to chyba niczym nie ryzykuję” – stwierdziła, chociaż doskonale wiedziała, że niektóre eliksiry mają nieciekawe skutki uboczne.

Upiła spory łyk. Smak był wyjątkowo obrzydliwy, nawet jak na magiczną substancję. Z początku nic się nie działo, ale po dłuższej chwili zaczęła mrużyć powieki, coraz bardziej oślepiana słonecznym światłem. Wkrótce nawet całkowite zamknięcie oczu przestało przynosić ulgę. Z zaciśniętymi powiekami panicznie próbowała odtworzyć niedawno mijaną okolicę i przypomnieć sobie, czy nie było tam jakiegoś zacienionego miejsca, ale w pamięci odszukała

jedynie obrazy płaskich, pokrytych gdzieś mchem skał. Ból stawał się nie do zniesienia, przenikał z oczodołów w głąb mózgu. Jedynym ratunkiem wydawało się jej teraz natychmiastowe zanurkowanie w skalnej rozpadlinie. Z trudem panując nad falami wlewającego się do głowy cierpienia, zaczęła po omacku schodzić do czeluści. „Spadnę, nic nie widząc”. Bezsensowność własnych myśli uruchomiła wytrenowane odruchy. „Skup się wyłącznie na tym, co musisz zrobić” – wściekły syk udzielającego reprimendy mentora tropienia wybrzmiał echem w jej umyśle. „Im więcej zmysłów skupisz na wykonywanej czynności, tym mniej ich zostanie na odczuwanie tego, czego odczuwać nie chcesz”.

Po kilkunastu metrach odkryła dwie rzeczy – obie ważne w jej sytuacji. Po pierwsze z każdym metrem ból oczu się zmniejszał, a po drugie wymacywała punkty oparcia i uchwytu zadziwiająco sprawnie. Górską wspinaczka była wprawdzie chlebem powszednim wszystkich uczniów, ale Skra nigdy nie czuła takiej lekkości poruszania się po, jak by nie było, całkiem pionowej ścianie. „Więc tak właśnie wygląda efekt kociej zwinności” – uświadomiła sobie z ulgą.

Schodziła dalej jeszcze przez paręnaście uderzeń serca, aż ból w oczodołach całkowicie minął. Zatrzymała się i powoli otworzyła oczy. Czekala, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, ale nic się nie zmieniało. Z otoczenia nie wyłaniały się żadne kontury, kształty, cienie. „Na Jasność, ośleplam!” Wisząc na jednej ręce, drugą gorączkowo poszperała w kieszonkach stroju łowcy i wyjęła małą broszkę używaną podczas nocnych polowań. Przedmiot emanował zielonkawym światłem, które nie było widoczne z większej odległości, więc nie zdradzało pozycji polującego, ale wystarczało, by móc rozpoznawać najbliższe obiekty. Odetchnęła z ulgą, dostrzegłszy popękany fragment skały, do której przywarła. „Mała, zacznij wreszcie myśleć” – skarciła się, wkurzona na swój brak opanowania. „Jak zachowałby się teraz prawdziwy Szarim?”

Zaczęła analizować sytuację według wyuczonego schematu. Jeśli mikstura działa podobnie do innych jej znanych, powinna wspomagać ją co najmniej parę godzin. To znacznie ułatwi odnalezienie mchu. Nie wiadomo wprowadzić nic o jego położeniu poza tym, że jest tu, w rozpadlinie, ale znała przecież wskazówki. Najbezpieczniej będzie zatem schodzić zakosami, co jakiś czas oglądając przeciwną ścianę, na wypadek gdyby mech rósł tylko w jednym miejscu.

Spojrzała na drugą stronę szczeliny. Przeciwną skała nie była daleko. Ponieważ słabe światło broszy ledwo tam docierało, wzmocniła nieznacznie siłę świecenia. Pozostało cierpliwe przeczesywanie otoczenia i schodzenie coraz niżej. Znowu musiała ujarzmić wrodzony brak cierpliwości, ale po latach uczenia się technik medytacyjnych przynajmniej robiła to automatycznie. Czas mijał, a kolejne metry skał stawały się bardziej porowate i zwietrzałe.

Po godzinie metodycznie wykonywanej sekwencji czynności stopa dziewczyny trafiła na większy występ skalny, który okazał się rozległą półką, miejscami łączącą niczym most obie strony szczeliny. Ostrożnie kucnęła przy samym skraju, wsłuchując się w ciszę. Nagle poczuła lekki, lodowaty podmuch i zaraz potem usłyszała czyjś szept. Mięśnie instynktownie napięły się, gotowe do działania niczym naciągnięte ramiona katapulty. Wytężyła wzrok, lustrując otoczenie. Jej spojrzenie wyловиło nieregularny otwór na przeciwną ścianę, coś na kształt sporej niszy lub wejścia do groty bądź boczego tunelu. Wystarczyło przejść na drugą stronę rozpadliny i trochę się wspiąć. Kolejny powiew był mocniejszy i bardziej przenikliwy, a szept stał się znacznie wyraźniejszy. Odruchowo przykucnęła jeszcze niżej, usiłując wsłuchać się w głos. Teraz słyszała już wiele szepcowań, tak jakby jakieś istoty właśnie się wokół niej gromadziły. Rosnący poziom adrenaliny domagał się działania, jej natura krzyczała o ruch, jedynie siedmioletni trening utrzymywał ją w miejscu wciąż skupioną, zastygłą. Skoncentrowana maksymalnie na odgłosach, starała się zlokalizować pozycje nadciągających prze-

ciwników. Jej umysł odruchowo projektował kolejne wersje uników i uderzeń, ale nasilające się dźwięki były zbyt liczne i zbyt różne. Zmarszczyła brwi, bo uświadomiła sobie, że część z nich zupełnie nie pasuje do tego miejsca. Skrzypienie drewna, płacz dziecka, odległe wycie wilka, rozpaczliwy, przytłumiony krzyk kobiety...

Nagle z ciemności kilkanaście metrów przed nią wyłoniła się rosła postać. Gdy zmaterializowała się całkowicie, Skra dostrzegła nieznanego jej rodzaj stwora. Był ewidentnie humanoidem, z twarzy przypominającym nawet człowieka. Grubo ponad dwa metry wzrostu, potężne bary, ramiona i kark, a także solidny rynsztunek bojowy budziły respekt. Dziewczyna poczuła gulę w gardle. Nie miała odpowiedniego uzbrojenia, atak bestii będzie dla niej prawdziwą próbą przetrwania. Gdy przeciwnik ryknął i dziko zaszarżował, wyczuła cień nadziei. „Marzeniem wyszkolonego wojownika jest wróg zbyt pewny swego. Zaskocz go od razu w pierwszym zwarciu i nie daj mu już z niego wyjść” – dobrze znane rady rozbrzmiały tak wyraźnie, jakby mentor Rejwan stał tuż obok i przyglądał się spokojnie całemu zajściu.

Ogromny topór uderzył w skałę dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała Skra. Ale dziewczyna już znalazła się za plecami atakującego i mocno cięła podwójnym uderzeniem noża po ścięgnach i jeszcze raz ukośnie w nieosłoniętą wewnętrzną część uda. Zwiększona działaniem mikstury szybkość, z jaką wykonała wszystko, a potem odskoczyła i przyjęła ponownie pozycję gotowości, aż ją samą zafascynowała. Jednak to, co stało się później, zbiło ją totalnie z tropu. Stwór, który nie miał prawa wykonać już żadnego kroku, wywijał dalej orężem, rycząc przy tym straszliwie, aż w końcu znów zaszarżował w ataku na... przeciwną ścianę. I zniknął w niej, jakby była z mgły.

Skra wytrzeszczyła oczy zdezorientowana, ale po chwili musiała raptownie uskoczyć przed... nadjeżdżającym konno kolejnym wojownikiem! Teraz wokół niej roilo się już od walczących posta-

ci. Huk uderzeń, wrzaski trafionych oraz wszechobecny odór krwi i wnętrzności wręcz zalewały jej zmysły. W pełni opancerzeni ludzie, stwory podobne do tego pierwszego, jakieś inne istoty o paskudnym wyglądzie i jeszcze paskudniejszym uzbrojeniu, a także barczyste karły z labrysami – wszystko to teraz otaczało ją w całym nierealistycznym chaosie... prawdziwej bitwy? Uświadomiła sobie, że znajduje się w centrum walki, ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Przetarła oczy, jednak obraz nie zniknął, tylko zastąpił go nowy.

Tym razem była świadkiem straszliwej rzezi. Wkoło płonęły chałupy, a mieszkańcy osady cierpieli wyrzynani i gwałceni przez bestialskich żołdaków w srebrnych maskach grozy. Wypełniające przestrzeń przerażenie, potworny ból i gwałtowna nienawiść wręcz rozdzierały jej jaźń. Zdała sobie sprawę, że to muszą być iluzje, ale nie mogła uwierzyć, by ktokolwiek umiał stworzyć je aż tak realistycznie. Wizje były coraz bardziej makabryczne i uderzały coraz gwałtowniejszymi falami emocji. Jej umysł i ciało za każdym razem odbierały intensywnie wszystko to, co musiałyby naprawdę przeżywać istoty uczestniczące w obrazach. Natłok odczuć stawał się prawdziwą torturą, od której Skra nie potrafiła się odciąć. Instynkt kazał jej biec gdziekolwiek, byle daleko od tego miejsca, ale to resztką przytomności umysłu podpowiedziała kierunek. Cała jej świadomość skupiła się teraz na jednym zapamiętanym widoku: majaczącym w mroku otworze w skalnej ścianie.

Biegła zaledwie parę chwil, a gdy tylko wczółgała się do tunelu, wszystko ucichło. Podpełzła jeszcze kawałek i gwałtownie zwymiotowała. Każdy fragment jej organizmu wydawał się trząść i boleć. Potrzebowała dłuższej chwili na dojście do siebie na tyle, żeby móc rozejrzeć się i ocenić miejsce.

W głębi tunelu dostrzegła lekko falującą srebrzystą poświatę, podobną do tej, która tworzy się czasem w bezchmurną noc przy pełni. Ruszyła czujnie w jej kierunku. Gdy przeszła kilkadziesiąt kroków, uj-

rzała cel swojej misji. Boczne ściany skalnego korytarza całe pokryte były legendarnym księżycowym mchem! Stała urzeczona widokiem mieniającej się przepięknie rośliny. Impulsywnie przejechała dłonią po jej powierzchni i wtedy poczuła się nagle bardzo spokojnie i dobrze, zupełnie jak człowiek w letnie, słoneczne popołudnie siedzący przed domem na ławeczce i patrzący na leniwie płynące po niebie chmurki. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by usiąść pod ścianą, wtulić się w ten żywy dywan i pozwolić sobie na długi, beztroski odpoczynek. Wszystkie sprawy i zmartwienia zeszyły na dalszy plan. Szła powoli, pieszcząc dłonią miłą w dotyku powierzchnię, coraz bardziej pochłonięta błogością nastroju i sielanką tego miejsca. I wtedy kątem oka dojrzała nieco dalej pod ścianami znajomo wyglądające kształty. Skupiwszy wzrok, zrozumiała, że to ludzkie szkielety w różnych pozach przylgnięte do pulsującej srebrem wyściółki. „Szczęśliwcy” – pomyślała, czując zazdrość, że oni już tak długo upajają się tym wspaniałym miejscem, a ona dopiero do niego dotarła. Usiadła i sama zagłębiła się w miękkość, przepełniona rozkoszą podobną do tej, którą odczuwa znużone dniem małe dziecko kładące się w pachnącą czystością pościel w ukochanym łóżeczku, bezpieczne, kochane, szczęśliwe...

Z wszechobecnej mlecznej mgły w ciszy wynurzyła się jasna postać otoczona błękitną poświatą. Wysoka, przepiękna kobieta z rozpuszczonymi jasnymi włosami zbliżała się powolnym, lekkim krokiem. Długa, prosta suknia rzucała przy każdym ruchu delikatne świetlne refleksy. Szeroka twarz o klasycznej urodzie, pełne usta i duże ciemne oczy nadawały jej wygląd prawdziwej bogini. Biły od niej jednocześnie siła i majestat, ale też bezmiar kojącego spokoju. Podeszła do Skry, przyglądając się jej wciąż przenikliwie.

– Kim jesteś, pani? – wyszeptała dziewczyna, bo zdawało się jej, że mówienie pełnym głosem jest nie na miejscu.

Kobieta milczała dłuższą chwilę, jakby nie usłyszała pytania lub nie miała zamiaru odpowiadać. W końcu na jej twarzy zagościł lekki uśmiech.

– Witaj, dziecko światła. – Wykonała nieznaczny ruch ręką mający być chyba formą powitania. – Istoty podobne tobie nadawały mi przez wieki różne imiona, ale najbardziej przypadło mi do gustu określenie Wszechmatka. Jeśli chcesz, możesz się zatem tak do mnie zwracać.

– Czy to twoje miejsce, Wszechmatko? – Skra chciała rozmawiać. O czymkolwiek, byleby przekonać się, że tym razem obraz nie jest iluzją.

Rozmówczyni przysiadła obok, podpierając się ręką w swobodnej pozie, zupełnie takiej, w jakiej dwie kobiety usadawiają się podczas pogawędek w ogrodzie. Zapachniało kwitnącą łąką. Skra się zdziwiła.

– Jesteś teraz w miejscu, gdzie twoja natura przenika się z moją. To szczególne miejsce, dla mnie zresztą też, chociaż o każdym innym mogę powiedzieć, że jest tak samo moje jak to. Ale właśnie tu możliwe było wyczucie znajomych drgań, które cię tworzą. Przyszłam sprawdzić ich... spójność ze mną i faktycznie to się potwierdza.

– Co chcesz w związku z tym zrobić? – Skra czujnie obserwowała wyraz twarzy kobiety, nie mając pewności, czy może pozwolić sobie na tak swobodny dialog.

– Istnieję od zawsze, a moja istota przenika wszystko. Nie widzę powodu, bym miała cokolwiek z tym robić. Pytanie brzmi raczej: co TY chcesz z tym zrobić?

– Eee, ale... ja nie bardzo cię rozumiem. – Postanowiła mówić jak najbardziej wprost, zdawała sobie bowiem sprawę, że ma do czynienia z kimś, kto prawdopodobnie postrzega świat zupełnie inaczej.

Kobieta milczała dłuższą chwilę, patrząc głęboko w oczy Skry.

– Spróbuję dać ci pewne zrozumienie, choć przyznaję, że rozmawianie z ludźmi, nawet naznaczonymi światłem, nigdy nie wychodziło mi najlepiej. – Zamyśliła się, dziecięcym gestem nawijając kosmyk włosów na palec. – Wśród przedstawicieli twojego gatunku trafiają się tacy, którzy zostają dotknięci miłością Tych-Którzy-Są.

Jest to niezwykle rzadkie, ale jeśli już się zdarzy, wtedy to szczególnie... – Zamyśliła się. – ...uwrażliwienie przechodzi z pokolenia na pokolenie aż do wygaśnięcia linii danego rodu. Sprawia ono, że drgania, z których stworzone są wszystkie istoty ożywione, stają się u takiej osoby w pełni harmonijne z... hmm, w pewnym sensie ze mną. To odziedziczone przez ciebie naznaczenie powoduje, że... to tak, jakbyś była częścią mnie, moim fragmentem. Rozumiesz? – Jej lekko zmarszczone brwi sugerowały, że nie jest w pełni zadowolona ze swojego tłumaczenia.

– Szczerze mówiąc, Wszechmatko, to zupełnie nie. Wybacz mi, że nie jestem wystarczająco godnym słuchaczem, ale nic mi nie wiadomo ani o Tych-Którzy-Są, ani o drganiach, z których się mam składać. Poza tym musisz się chyba mylić, bo nie czuję się niczym szczególnie naznaczona, a moi rodzice to bardzo prości i zwykli ludzie i...

– Jesteś przede wszystkim bardzo młoda – przerwała jej – nawet jak na czas wyznaczany twojemu gatunkowi. Żeby wyczuć to, o czym mówię, musisz się bardzo wnikliwie wsłuchiwać w samą siebie, a to wymaga i umiejętności, i praktyki. – Bogini się podniosła. – Ale ta wiedza wcześniej czy później do ciebie dotrze, szczególnie że masz bardzo mądrego nauczyciela. – Uśmiech kobiety sugerował, że zna sytuację dziewczyny. Ale jak to możliwe? Czyżby obserwowała Najstarszego?

– Wybacz, że zapytam, ale czy masz na myśli kogoś konkretnego? – Skra była teraz równie zaintrygowana i zaskoczona, co przerażona.

– Drogie dziecko światła. – Jej uśmiech się pogłębił. – Ja wszystko wiem. Albo inaczej: mam dostęp do wszelkiej wiedzy, bo jestem strażniczką wszystkiego, co tworzy... świat, w którym żyjesz. – Zobaczywszy zagubienie na twarzy młodej Darzanki, bogini westchnęła. – Szkoda naszej rozmowy, to dla ciebie jeszcze nie czas na zrozumienie. – Machnęła zrezygnowana ręką, ale zaraz potem przy-

brała wyraz, jakby właśnie wpadła na dobry pomysł. – Jeśli chcesz, możemy jednak spróbować podejrzeć, do czego Twórcy cię przeznaczili. – Uśmiechnęła się jak dziewczynka, która namawia drugą na wspólną psotę. – Chciałabyś wiedzieć więcej o tym, co cię czeka?

Skra przełknęła nerwowo ślinę. Pomyślała, że to z jednej strony retoryczne pytanie, bo któż nie połakomiłby się na taką okazję, ale z drugiej... czy to dobrze znać to, co nie jest naturalnym do poznania?

– A jeśli zechcę, co będę musiała zrobić?

– Zasadniczo nic, bo tylko ja mogę uzyskać dla ciebie te informacje. Przyznam, że sama jestem po prostu ciekawa, a obecność w tym osobiwym miejscu daje nam właśnie taką możliwość.

Dziewczyna kiwnęła niepewnie głową na znak gotowości. Kobieta wstała i dotknęła wskazującymi palcami obu skroni Skry, przymykając oczy. Odczucie przypominało spadanie w przepaść. W umyśle rozbłyśkiwały szybko następujące po sobie obrazy i emocje. Pojawiały się i znikwały w takim tempie, że nie dało się ich nie tylko zapamiętać, ale też w większości nawet dostatecznie rozpoznać, by zrozumieć, co dokładnie przedstawiają. Tak, jakby ktoś błyskawicznie obejrzał wszystkie czekające dziewczynę chwile. Jedyne, co umysł Skry zdołał odnotować wystarczająco trwale i wyraźnie, by mogła sobie to uświadomić, to niezwykłość spojrzenia jakiegoś młodego wojownika, jego silne emocje i własną nadspodziewanie intymną reakcję na jego bliskość. Obraz był intensywniejszy niż pozostałe, a ujrzone niesamowite, złotawe oczy z wąskimi pionowymi źrenicami niepokojąco fascynowały.

W pewnym momencie bogini gwałtownie oderwała palce i przycisnęła dłonie do sukni, zupełnie jakby się oparzyła. Na jej twarzy malowały się zdumienie i przerażenie.

– Dlaczego wy, istoty ze mnie, zawsze musicie tak gwałtownie transformować?! – Wyraz niesmaku i oburzenia na jej obliczu szybko przeszedł w głęboką troskę. Pogłaskała dziewczynę po głowie z zaskakującą jak na swój majestat czułością.

– Widziałam... zdaje mi się, że widziałam mężczyznę. – Skra niepewnie nazwała wrażenie, które jako jedyne pozostało w jej pamięci. – Smukły chłopak o nieludzkich oczach. Jego spojrzenie... czułam... – Odruchowo objęła się ramionami. – ...straszny ból, rozpacz, strach, wszystko wkoło niego pogrążone było w takim okropnym cierpieniu... Czy to właśnie mnie czeka?

– Nadejdzie chwila, gdy odkryjesz, jak niezwykle jest dla ciebie ważny, ale on... przykro mi. – Kobieta przytuliła ją niespodziewanie w ludzkim geście współczucia. – Nie powinnam tego robić. To prawdopodobnie zmieni bieg wydarzeń, ale chcę ci coś ofiarować. To taki swoisty dar ode mnie. Staniesz się jeszcze bardziej spójna ze mną. Przejdiesz przez wyznaczony ci czas stabilniej. W ten sposób dotrzesz do swojego przeznaczenia mniej podatna na gwałtowność zdarzeń, które cię czekają po drodze.

Skra poczuła miliony drobnych igiełek, które przerodziły się w falę wszechogarniającego ciepła. Nie wiedziała, czy dziękować, a nawet czy w ogóle powinna coś mówić. Cudownie kojąca bliskość Wszechmatki nie była jednak w stanie stłumić niepokoju pozostałego po mentalnej podróży we własną przeszłość.

– A teraz już idź. Ci, którzy na ciebie liczą, martwią się twoją długą nieobecnością. – Kobieta lekko popchnęła zdezorientowaną Skrę w stronę błękitnej szczeliny, która niespodziewanie pojawiła się obok. – I zabierz ze sobą trochę więcej mojego mchu, może ci się jeszcze przydać. – Wymowne mrugnięcie bogini świadczyło o tym, że ma pełną świadomość, po co przyszła młoda szamanka.

Dziewczyna, wciąż nie wiedząc do końca, jak powinna się zachować, dygnęła jedynie, skłaniając głowę, i zanurzyła się w pulsującej poświacie. Po chwili znów znalazła się w podziemnym tunelu, koło skrzącego się srebrzyście mchu i szkieletów. Wprawdzie miała teraz mocno poplątane myśli, ale nie przeszkodziło jej to w uświadomieniu sobie, jaki los czekałby ją, gdyby nie łaskawość kobiety. Gdy tylko zniknął magicznie wiążący błogostan, nauczony dyscypliny

umysł natychmiast wrócił do konkretów i celów. Głębsze zastanawianie się nad tym, czego właśnie doświadczyła, Skra odłożyła na później.

Podczas powrotu na powierzchnię nie atakowały jej wprowadzie już żadne iluzje, ale za to doskonale mogła odczuć różnicę we wspinacze bez wspomagania eliksirem. To był koszmarnie wyczerpujący wysiłek, więc gdy ujrzała nad głową rozgwieżdżone niebo, odetchnęła pełną piersią. Dopiero teraz dotarło do niej, że właśnie wykonała zadanie. Nic już nie stanie jej na drodze, by zostać Szarim! Emocje wyrwane z długotrwałej koncentracji przyniosły gwałtowny przypływ łez. Łez szczęścia i niesamowitej ulgi. Stan, który niejednokrotnie próbowała sobie wyobrazić przez te siedem pustelniczych lat kieratu. Jest wolna! Wolna! Wolna!

Pozwoliła sobie na dłuższy czas rozkoszowania się nowymi uczuciami. Teraz nie musi się już śpieszyć – może spokojnie wędrować do Najstarszego z prawem wejścia do Sali Objawień, by ostatecznie dokonać się wybór koloru jej szat maga.

Coś kazało jej krzyknąć z radości na cały głos, aż echo potoczyło się po pobliskich zboczach.

Gdy chciała ruszać, z mroku nagle wyłonił się kształt. W mgnieniu oka przyjęła pozycję bojową z nożem łowcy w dłoni ukrytej za plecami.

– Spokojnie, dziewczyno. To ja, Tulan. – Znajomy, stonowany głos pozwolił jej się rozluźnić. Ale dlaczego mentor tropienia był tutaj?

– Wydawało mi się, że reguły ostatecznego przejścia kategorycznie zabraniają komukolwiek uczestniczyć w zadaniu kandydata.

– I od wieków ich przestrzegamy. – Szczupły, szpakowaty szaman postąpił kilka kroków i zaczął się jej bacznie przypatrywać. W jego postawie wyczuła skrywane napięcie i niepewność. – Ale jak wiesz, gdy minie tydzień ponad wyznaczony na zadanie czas, rozpoczynamy poszukiwania kandydata.

– Minęło przecież zaledwie pięć dni od chwili, gdy wyruszyłam z groty.

– Na Orin nie mamy problemów z mierzeniem upływu czasu. – Wzrok Tulana utkwiał na mocno wypchany zawiniątku przeznaczonym na zdobycz w zadaniu. – A gwoli ścisłości: dni minęło piętnaście, gdy widzieliśmy cię ostatni raz.

– Ale to niemożliwe... – W jej pamięci pojawiły się słowa wypowiedziane przez Wszechmatkę na koniec spotkania. Czyżby to wszystko wydarzyło się naprawdę? Ale jeśli nawet, to przecież jej rozmowa z tajemniczą boginią trwała ledwie chwilę...

– Czy udało ci się wykonać zadanie do końca?

Wzmozona czujność tropiciela, którą aż za dobrze nauczyła się przez te wszystkie lata rozpoznawać, udzielała się Skrze coraz mocniej. Gotowa do ewentualnej szybkiej reakcji, powoli odwinęła materiał, wyjęła spory fragment mchu i pokazała go na wyciągniętej dłoni. Srebrzysta poświata stanowiła fascynujący widok. Tulan odechnął głęboko z ulgą, po czym uśmiechnął się lekko.

– Gratuluję. Przyznam szczerze, że choć bardzo cię polubiłem, nie stawiałem na twój sukces. Nie w tym zadaniu. A będąc jeszcze szczerzym: dziś po zachodzie księżyca planowałem wracać. Niejeden nie wyszedł już z czeluści.

– Dzięki za tak ogromną szczerłość... – Dziewczyna schowała mech. – ...jakkże charakterystyczną dla całego uroczego Orin.

Tulan stanowił wyjątek wśród mentorów. Jego życzliwa i nad wyraz spokojna natura czyniła ich relacje bardzo przyjacielskimi. Przynajmniej jak na ogólne zwyczaje panujące na wyspie i stosunki między mentorami i uczniami.

Łowca znów lekko się uśmiechnął. Wyjął z podręcznej sakwy kawałek ciemnego chleba, korzeń dojrzałca, którym wzmacnia się osłabionych lub chorych, i podał to wszystko wraz z bułakiem Skrze.

– Myślę, że jeszcze nie raz docenisz tę szczerłość i zatęsknisz za nią. – Przypatrywał się, jak świeżo upieczona szamanka usiłuje za-

chować nonszalancję w jedzeniu, mimo że jej żołądek z całą mocą potwierdzał wersję ponadtygodniowego postu na dnie rozpadliny. – Zjedz spokojnie. Wiadomość o tobie dotarła właśnie do Najstarszego. – Tulan rozsiadł się w charakterystyczny dla siebie sposób ze skrzyżowanymi nogami. – Mam cię odprowadzić bezpośrednio do Sali Objawień.

– Ale skąd ta nadopiekuńczość? Jestem już duża. A poza tym dlaczego niby mamy zmieniać ustalony porządek rytuału? – Zachowanie tropiciela zaczynało ją niepokoić.

Tulan wzruszył ramionami z obojętną miną.

– To polecenie Najstarszego, ja je tylko wykonuję. Ale nie traktowałbym na twoim miejscu mojej obecności w drodze powrotnej jako jakiegokolwiek nietypowego przywileju.

– Jasne, na Orin istnieją tylko dyscyplina i jej kontrola. – Powoli docierała do niej radość, że wkrótce będzie mogła to tylko wspominać jak zły sen.

Kończyła posiłek w milczeniu. Ciepła, bezchmurna noc sprawiała, że umysł naturalnie się wyciszał. O ile o wielu zajęciach i prowadzących je mentorach wołałaby prędko zapomnieć, o tyle specyficzna atmosfera tego miejsca, pełna miłych zapachów i kojących zmysły dźwięków, była akurat czymś, co chciałaby utrwalić w pamięci na zawsze. Jako zaprzysiężona Szarim najprawdopodobniej nigdy już nie ujrzy wyspy.

– Tulan... – Zastanawiała się przez chwilę, na ile otwarcie może z mentorem rozmawiać o tym, co ją spotkało na dole. – Powiedz: ilu kandydatów dostało za zadanie przyniesienie mchu i wykonało je przede mną?

Noc wprawdzie była jasna, ale nie na tyle, by móc dokładnie ocenić wyraz twarzy tropiciela. Jego przedłużające się milczenie sugerowało jednak, że temat nie jest łatwy.

– Z tego, co wiem, zadania tego podjęło się tylko kilka osób, ale... – Mężczyzna zapatrzył się na wzgórze. – ...z tego miejsca wrócili

tylko Najstarszy i Rejwan. Straciliśmy tam paru dobrych, doświadczonych Szarim.

– Czyli chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy pozostali kandydaci zginęli podczas takiej misji? – Skra poczuła suchość w ustach.

Tulan spojrział jej w oczy z nietypową dla niego zadumą.

– To nie jest miejsce, do którego posyłano kiedykolwiek kandydatów.

– Nie rozumiem. Zatem... – Myśli, które pojawiły się w głowie dziewczyny, były trudne do zaakceptowania.

– Nikt nie rozumie niektórych motywów Najstarszego. Ale to dzięki niemu nasze plemię ma swoją historię. Posłał ciebie i właśnie ty wykonałaś to zadanie. Można by rzec: znów miał rację. Albo po prostu wie coś, czego nie wiesz ty. Ani ja.

Mentor wstał i położył rękę na jej ramieniu.

– Ruszajmy. Możemy pogadać po drodze, a i tak pewne sprawy powinnaś omówić wyłącznie z nim. Moim zadaniem było nauczyć cię sztuki tropienia jako podstawowej umiejętności łowcy. Oglądając dowody tego, czego dokonałaś przy wodopoju, uznaję swoje zadanie za dobrze wykonane. Sprawy magii zrodzonej przez samą naturę to nie moja działka.

III. Rytuał inicjacji Szarim

Sala Objawień była tak naprawdę przestronną grota o regularnym, owalnym kształcie, z wysokim sklepieniem, z którego zawsze kapłała woda, gromadząca się pośrodku pomieszczenia w formie symbolicznego jeziora. Unikalną cechą tego miejsca była specyficzna akustyka. Monotonia plusku szybko przynosiła rozluźnienie. Idealne warunki do medytacji.

Skra otworzyła niewielką metalową szkatułkę przekazaną jej przez Tulana tuż przed wejściem. Patrzyła w zamyśleniu na cztery

kolorowe drewniane kulki leżące na aksamitnej wyściółce. Intensywnie szkarłatna była od Rejwana, wielkiego obrońcy krainy Sid, w pewnych sytuacjach gwałtownego człowieka i nieprzejednanego wojownika. Magia tego koloru wiązała się z agresją, siłą, wpływem i niezłomną determinacją. Nie sądziła, by właśnie to był jej rodzaj magii, ale żaden kandydat nie mógł być pewien wyniku w Sali Objawień.

Ciemnozieloną włożył tu Wilko, główny łowczy ludu, zawsze będący autorytetem dla Tulana. Gdyby wybrał ją ten rodzaj magii, oznaczałoby to bliskość z naturą i umiejętność czerpania z jej źródeł. Dotknęła kulki, myśląc sobie, że odpowiadałby jej ten wybór.

Błękitna oznaczała silne związki z magią życia, ciałem i umysłem i to również mogłoby być jej bliskie. Ten kolor niechybnie pochodził od Frakira, mistrza uzdrowiciela, ale też mentora telepatii.

Jednak to ostatnia najbardziej odpowiadała profesji, którą Skra chciała zadeklarować Najstarszemu. Wściekły fiolet uznawany był za symbol magii jako takiej, reprezentował powiązanie z istotą magicznej mocy i zaklęciami utrwalonymi. Od dawna marzyła o samodzielnym tworzeniu zaklęć, a nawet własnych struktur magii. Wprawdzie dotychczas był to wyłączny przywilej Najstarszego, ale też nie istniał żaden zakaz uniemożliwiający przynajmniej próby podjęcia tej dyscypliny.

Rozebrała się do naga i zanurzyła powoli w sadzawce aż po pępek. Z rosnącym podekscytowaniem rozrzuciła wszystkie kulki wokół siebie i przymknęła oczy. Zgodnie z rytuałem Sali Objawień w zależności od tego, który rodzaj magicznej esencji zawartej w kulkach będzie najbliższy naturze i przeznaczeniu szamana, ten kolor przybierze woda. Każdy kandydat przynosił przed oblicze Najstarszego symboliczną karafkę zabarwionej wody, deklarując profesję, w której chciałby dalej się rozwijać i służyć ludowi.

Myśli dziewczyny przeskakiwały pomiędzy skojarzeniami czterech kolorów. Z jednej strony wiedziała, że woda zabarwia się pra-

wie natychmiast, więc mogła już otworzyć oczy, by sprawdzić wybór, ale z drugiej blokował ją jakiś wewnętrzny lęk. „Czego ja się właściwie boję? Przecież wiem, że zaakceptuję każdy z rodzajów magii” – próbowała racjonalizować sprawę, ale wciąż nie otwierała oczu. „W najgorszym przypadku grozi mi magia walki, ale to przecież nie tragedia, a poza tym może wówczas mogłabym wybrać dyscyplinę obrony, pomagając innym unikać obrażeń”. W końcu dopuściła do świadomości myśl, która mogła stanowić źródło niepokoju. „Jest przecież jeszcze jedna możliwość. Czarny kolor to ten, który oznaczałby dla mnie... no właśnie, co by oznaczał?” Przypomniała sobie wszystko to, co usłyszała od swoich mentorów. Magia ciemności wybierała Darzan niezwykle rzadko, ale gdy tak się stawało, lud nie odrzucał również takiego daru. Obecnie wśród Darzan pełnił służbę tylko jeden mag czerni. Szaman Bragon odpowiadał za kultywowanie i zgłębianie czarnej magii pod osobistym nadzorem Najstarszego, by plemię nie było odcięte od tego rodzaju mocy, chociaż żaden z szamanów bez ciemnych szat nie miał prawa samodzielnie jej używać. „No cóż, musiałabym pewnie zostać takim samym samotnikiem jak Bragon”. Poczuli się nieswojo na myśl o życiu, w którym szacunek do szat szamańskich nie przeszkadzałby Darzanom milknąć w jej obecności i starać się uprzejmie, jednak jednoznacznie unikać jakichkolwiek kontaktów z nią.

Przełknęła ślinę. Otworzyła oczy z nadzieją na niezobaczenie mętnej czerni. Umysł potrzebował chwili, żeby zaakceptować szokujący fakt – zawartość sadzawki pozostawała krystalicznie przezroczysta. Zamrugnęła. „O co chodzi, na Jasność?!” W bezradnym odruchu zamieszała rękami wodę wokół siebie, ale ta wciąż pozostawała całkowicie bez koloru. Czuła rosnący strach i suchość w gardle. Wyłowiła dryfujące przy powierzchni kulki i przyjrzała się im wnikliwie. Każda miała na sobie delikatne wzory, swego rodzaju podpis poszczególnych mentorów, a więc nie mogło być mowy o pomyłce. Gorączkowo szukała interpretacji tej sytuacji, ale

nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy. Próba w Sali Objawień od wieków dawała odpowiedź każdemu z kandydatów i nigdy nie słyszano o żadnym wyjątku. Skra miała świadomość, że jej czas w tym miejscu powoli się kończył i z tym czy innym kolorem wody musi wreszcie udać się na audiencję do Najstarszego. „Czy to możliwe, by mimo zaliczenia próby wszystkie rodzaje magii mnie odrzuciły? Czyżbym była z jakichś względów niegodna magii?” – coraz trwoźniejsze myśli ścisnęły jej żołądek. Ale przecież nigdy tak się nie zdarzyło – kandydaci zawsze opuszczali to miejsce z jakimś kolorem. Nie miała pojęcia, co może dla niej oznaczać ten wynik, ale wiedziała, że nie może wiecznie tkwić w sadzawce.

Zesztywniałym ruchem podniosła karafkę i z nadzieją, że woda nabierze jakiegoś koloru, napełniła naczynie do połowy. Patrząc zrozpaczona na niezmienną przezroczystość cieczy, ubrała się. Gdy kładła dłoń na drzwiach do pomieszczeń Najstarszego, zdała sobie sprawę, że jej policzki są mokre od łez. A liczyła, że rozstała się z nimi na zawsze siedem lat temu...

* * *

Komnata Zaprzysiężeń, w której Najstarszy przyjmował kandydatów, nie była szczególnym miejscem. Mocno rozczarowywała jak na doniosłość chwili. Doniosłość przynajmniej dla samych młodych szamanów, dla których ten moment miał stanowić jeden z najważniejszych w życiu. Było to po prostu jedno z pomieszczeń Najstarszego, regularny, duży pokój, pośrodku którego stał spory okrągły stół bez nakrycia, z błyszczącym dębowym blatem. Jak widać, surowość wieloletniej nauki na wyspie Orin miała swoje odzwierciedlenie w równie surowym charakterze mało uroczystej ceremonii nowicjatu. Drzwi przeciwległe do tych, w których pojawiła się Skra, ozdabiał niepokojący ornament w formie srebrnych

węży wijących się pośród runicznych znaków charakterystycznych dla starodawnej magii kontynentu, wypłenionej już na samym początku panowania rodu Ogromirów. To właśnie wtedy wychodzili ci, którzy zostawali zaprzysiężeni. Na ścianach po obu stronach widniały ogromne malowidła przedstawiające mityczne sceny bitewne Wielkich Królów Rodu Krwi, ożywające w lekko migotliwym blasku kilkunastu świec. W powietrzu unosił się silny zapach kadzidła.

Spojrzenie Skry od razu wyłowiło ostrzegawczy sygnał – pod bocznymi ścianami, na wysokich krzesłach z rzeźbionymi oparciami, siedzieli mentorzy. Czterej właściciele drewnianych kulek, z których żadna niestety nie wskazała preferencji magicznej energii dziewczyny. Zwalisty Rejwan w szkarłatnej, obszernej bluzie, i tak opinającej się na jego potężnej piersi, z narzuconym czarnym kaftanem, miał skupiony wyraz twarzy. Lekko ściągnięte ku sobie gęste brwi ocieniały ostre spojrzenie. Chyba pierwszy raz nie widziała u niego żadnej broni. Obok siedział Frakir, wysoki i zasuszony, cały spowity błękitną szatą na modłę medyków. W jego obliczu nie odnalazła zwyczajowej łagodności, a jedynie zagadkowy dystans. Spojrzała w stronę szczupłego, żylastego Wilka, który jak zawsze w przedziwny sposób przywoływał skojarzenie z drapieżnym zwierzęciem pod ludzką postacią. Obok, najbardziej rozluźniony, siedział Tedor, mistrz magii – na współpracę z nim wcześniej najbardziej liczyła.

Biorąc pod uwagę zwyczaje rytuału ceremonii, nie powinno ich tu być. „A więc już wiedzieli” – pomyślała z rosnącą rezygnacją. A może wręcz spodziewali się jej fiaska? Przypomniała sobie szczerze słowa Tulana przy Czeluści. Wzięła głęboki oddech. Może i nie została wybrana przez któryś z kolorów magii, ale w duszy w pełni czuła się prawdziwym Szarim z powołania i dlatego postanowiła zachować się tak, jak powinna – do końca z godnością. Ruszyła ku stołowi, za którym stał Najstarszy. Nie patrząc na niego, sztywno położyła na blacie zawiniątko z lśniącym mchem, a obok postawiła flakonik z miksturą kociej zwinności. Wygłosiła rytualną formułę

przygaszonym tonem, zastanawiając się nad jej sensem w odniesieniu do jej przypadku:

– Mistrzu mistrzów, oto owoce mojej nauki i pracy mentorów. Zadanie wyznaczone mi w teście ostatecznego przejścia wypełniłam całkiem samodzielnie, nie dopuszczając niczyjej pomocy, w oznaczonym terminie i zgodnie z pouczeniem. Przyjmij je jako mój dar dla krainy Sid, którym chciałabym otworzyć swoją drogę do zgongonej służby.

Zmusiła się, by spojrzeć na Najstarszego. Najwyższy rangą Szarim z pozoru mógłby uchodzić za rówieśnika niektórych mądrych. Człowiek średniej budowy ciała, o energicznych ruchach, szpakowatych włosach i siwiejącej brodzie wyglądał bardziej na kupca czy medyka niż odwiecznego przywódcę tajemniczego plemienia ze wzgórz. Jedynie w ciemnych oczach czaiła się otchłań czasu tworzącego pełną wyrzeczeń historię Darzan. Dziś Skra widziała w jego obliczu zachęający spokój i wręcz przyjazność.

Najstarszy skłonił lekko głowę.

– A zatem czy jesteś gotowa złożyć przysięgę wobec światła, rodu i naszej krainy?

Przełknęła z wysiłkiem, wiedząc, że zbliża się moment, który będzie wracał w nocnych koszmarach.

– Tak, mistrzu mistrzów, świadomą wolą, czystym umysłem i radosnym sercem.

– Okaż zatem wybór, jaki przynosisz z Sali Objawień, byśmy poznali ścieżki twojej magii.

Mała karafka mieściła się prawie cała w dłoni, a Skra trzymała naczynie tak, że nie sposób było dostrzec zawartości. Teraz nie było już po co zwlekać. Postawiła szkło na blacie, czując palący wstyd. Z lewej strony usłyszała nagle szuranie krzesła i dźwięk gwałtownego nabrania haustu powietrza, a z prawej – ciche westchnienie i ledwie słyszalny szept. Szybko otaksowała twarze mentorów. Takich min u nich jeszcze nie widziała. Rejwan wyglądał, jakby połknął

żabę, zesztynniały Wilko wgapił się w karafkę zahipnotyzowanym wzrokiem, jedynie Tedor zachował względny spokój, przygryzając nerwowo wargę. „Czyżby jednak nie wiedzieli?” – minimalna ulga zatrzepotała w jej umyśle. Popatrzyła na Najstarszego, zaciskając z napięcia pięści. Mistrz spokojnym gestem zachęcił ją do... kontynuacji ceremonii? Na jego ustach – i przysięgłaby, że także w oczach – błąkał się uśmieszek.

– Oto... magia... – Musiała przełknąć ślinę. – Oto magia, która dokonała wyboru mojej ścieżki – dokończyła formułkę. Serce waliło jej jak szalone, gdy obserwowała reakcję Najstarszego, ale ten niczym więcej nie zdradził, że widzi jakąkolwiek wyjątkowość sytuacji.

– Odpowiedz zatem przede mną. – Skierował ku dziewczynie otwarte dłonie, co zgodnie z rytuałem miało symbolizować włączanie jej energii do wspólnoty magii wszystkich Szarim. – Czy przysięgasz wierność Jasności, Rodowi Krwi pobłogosławionemu przez bogów przedwiecznych i krainie Sid?

– Przysięgam. – Jej myśli krążyły wokół budzącej się nadziei, której rozsądek wciąż nie chciał zaakceptować.

– Czy uznajesz zwierchnictwo kręgu i decyzje zgromadzenia jako przejaw naszego przeznaczenia?

– Uznaję.

– Czy przyrzekasz wierność Wielkiej Przysiędze złożonej przez naszych przodków królom Rodu Krwi, nakładającej na Darzan obowiązek podtrzymania blokady magii, zakazu jej używania poza krainą Sid oraz usuwania wszelkich niepożądanych jej przejawów na całym kontynencie?

– Przyrzekam.

– A zatem kraina zyskała nowego strażnika, przewodnika i po-wiernika. – Najstarszy wydobył z szat niewielką bursztynową szkatułkę, obszedł stół i położył ją przed Skrą. – Bądź wierna słowom dnia dzisiejszego, Szarim, do ostatecznego swojego tchnienia życia, a także później.

Drżącymi dłońmi podniosła wieczko, wiedząc, że to, co otrzymuje od Najstarszego, jest jednoznaczne z jej zaprzysiężeniem. Wyjęła charakterystycznie złożony szeroki pas zwany elite, złożyła go na pół wzdłuż delikatnego szwu biegnącego przez całą długość i przewiązała się nim podwójnie, tak aby kieszonki wszyte w wybranych jego odcinkach pozostały ukryte przed wzrokiem. Ten symbol godności wykonany ze specjalnej niezniszczalnej tkaniny był stałym wyróżnikiem stroju Szarim. Szamani wkładali długie, luźne szaty podobne do tych noszonych przez królewskich kapłanów, tyle że bez kaptura, jedynie na oficjalne wydarzenia, takie jak zgromadzenia, śluby czy pogrzeby. Na co dzień wybierali najczęściej strój odpowiadający ich profesji i zadaniom. Jedynie pas elite jako znak rozpoznawczy musiał być noszony zawsze.

Skra ostrożnie wyjęła ze szkatułki jeszcze jeden przedmiot, zwany przez Darzan ke – prostokątną klamrę nieco mniejszą niż wnętrze jej dłoni. Lekko zakrzywiona powierzchnia metalu podzielona była po przekątnej płytkim wgłębieniem wyznaczającym dwa trójkątne pola – górne, wychodzące z lewego rogu, zawierające oznakowania zadeklarowanej dyscypliny, oraz dolne, pokazujące innym rangę Szarim. Przyjrzała się swojej ke. Pole profesji nie było puste, choć zwyczajowo umieszczano oznaczenia dopiero po zatwierdzeniu zadeklarowanej przez qi-samana dyscypliny. W środku widniał okrągły czarny kamień połyskujący szkliście, identyczny z materiałem pokrywającym całą klamrę Najstarszego. Dolna część, zgodnie z regułami, miała pomarańczową barwę identyfikującą nowicjat qi-samana. Zasadniczo szata szamana ograniczała się do elite spiętego ke.

Zapinając specjalnie zaprojektowane zatrzaski klamry, dziewczyna poczuła w oczach wilgoć. Zamrugła, by pozbyć się efektów wzruszenia.

– Wiedziałeś od początku? – Rejwan wycelował oskarżycielsko palec w stronę Najstarszego. – Czy właśnie dlatego nas tutaj wezwałeś?

Najstarszy uniósł dłoń gestem powstrzymującym dalsze słowa.

– Co wiedziałem, to wiedziałem, ale możecie być pewni, że brak koloru w karafce Skry stanowi dla mnie takie samo zaskoczenie jak dla was. I nie, nie z tego powodu was wezwałem. Mamy do poruszenia znacznie poważniejsze kwestie, ale skoro już jesteśmy w takim gronie, to zapraszam wszystkich na filiżankę herbaty, przy której omówimy potencjalne konsekwencje tej niecodzienności. – Uśmiech na jego twarzy zdradzał odrobinę złośliwości.

IV. Legenda Wieży Dwóch Światów

Siedząc przy jednym stole, już jako qi-szamanka, z największymi autorytetami plemienia Darzan, Skra czuła się niezręcznie i dziwnie, ale Najstarszy wskazał jej miejsce obok siebie. Prywatny pokój Najstarszego był znacznie przytulniejszym miejscem. Dziewczyna знаła to pomieszczenie, kilka razy miała już okazję w nim przebywać. Finezyjne meble z polerowanego starodębu, podłoga z wąskich, ciemnych deszczulek ułożonych w ciasną jodełkę i szklane, matowe kasetony na suficie jarzące się delikatnym światłem o kolorze i natężeniu zależnym od nastroju maga tworzyły niepowtarzalny klimat. No i ten zapach świeżo zaparzonej herbaty, dziś w wersji z miętą i hibiskusem. Z drugiej strony taki intymno-herbaciany charakter jakoś nie pasował Skrze do ważkości tematów i dostojnego grona, ale cóż, na tyle znała już upodobania mistrza, by wiedzieć, że nie należy zwracać uwagi na jego nieco ekscentryczny sposób bycia.

Zastanawiała się nad całą sytuacją. Miała mętlik w głowie. Jak to się stało, że Najstarszy zaprzysiągł ją bez określonego rodzaju magii i że na jej ceremonii obecnych było czterech głównych Szarim? W dodatku zabrakło tej części, podczas której kandydaci otrzymywali nowe imię i deklarowali przynależność względem magicznej

dyscypliny. Zupełnie też nie mogła zrozumieć, co robi czarny kamień na jej ke. Wszystko jednak schodziło na dalszy plan w obliczu dwóch przepełniających ją uczuć – ogromnej ulgi i szczęścia. Stało się. Spełniła marzenie swojego siedemnastoletniego życia – została Szarim!

Zapewne każdy z obecnych, nie mówiąc już o samej Skrze, niecierpliwie snuł domysły, ale dopóki rozmowy nie zaczął Najstarszy, wszyscy w ciszy rozkoszowali się herbatą, kruchymi ciasteczkami i spadziowym miodem.

– Zanim poruszymy tematy, dla których was zebrałem, chciałbym, żebyśmy zamknęli kwestię naszej świeżo upieczonej szaman-ki. Odkąd istnieje rytuał zaprzysiężenia, nie zdarzyło się, by magia źródła nie określiła charakteru obdarzonego mocą. Czy mógłbym każdego z was prosić o osobistą opinię, co o tym zdecydowało?

Mężczyźni nie kwapili się do wyrażania zdania, oglądali się jeden na drugiego, aż w końcu Rejwan chrząknął, prostując się w zbyt wąskim dla siebie oparciu.

– Po prawdzie nie przychodzi mi do głowy nic rozsądnego poza pomysłem zgoła niedorzecznym, a jednak... – Pokiwał głową, jakby nie mógł się z czymś pogodzić. – ...stając w obliczu faktu, któremu zaprzeczyć się nie da, może... może jakimś wytłumaczeniem mogłoby być, że ta dziewczyna ma na tyle wielką moc wewnętrzną, że żadna z naszych esencji nie mogła się z nią scalić. – Rozłożył dłonie w geście rozterki.

Najstarszy przeniósł spojrzenie na pozostałych, ale Wilko i Frakir wzruszyli tylko ramionami, dając do zrozumienia, że nie mają żadnej sensownej hipotezy. Jedynie twarz Tedora stężała w zamyśleniu. Pochylił się do przodu, splatając dłonie.

– W istocie to mogłoby być przyczyną, ale podobnie jak Rejwan, mam poważne wątpliwości, czy tak wielka moc, nawet gdyby istniała u tak młodej osoby, umknęłaby naszemu rozpoznaniu w czasie tych siedmiu lat. Niewątpliwie, co zresztą kiedyś nam osobiście

zasugerowałaś, Skra jest niezwykle uzdolnioną szamanką i jej moc robi wrażenie, ale... – Pokręcił głową. – Przychodzi mi natomiast do głowy inne wytłumaczenie i choć wydaje się równie mało prawdopodobne, to jednak nie niemożliwe, przynajmniej teoretycznie. – Tedor przeciągnął dłonią po krótkiej brodzie i cicho odchrząknął. – Biorąc pod uwagę założenia działania naszych esencji w Sali Objawień, mają one wskazać ten rodzaj energii qi, który w kandydacie jest po prostu silniejszy... w pewnym sensie którego rodzaju magii jego umysł produkuje choćby odrobinę więcej. Ale przecież czysto hipotetycznie albo przynajmniej w chwili testu mogłoby być ich wszystkich dokładnie tyle samo. – Spojrzał na pozostałych, unosząc brwi.

– A o ile więcej wystarczyłoby, by uaktywnił się kolor? – Frakir mocno zainteresował się koncepcją.

– O cokolwiek. – Mistrz magii przesunął bezwiednie dłonią po blacie stołu, jakby chciał zetrzeć niewidzialny kurz. – Zasadniczo nawet o jedno modulo.

– Ale szansa, że tak by się zdarzyło, jest praktycznie żadna. – Frakir odchylił się w krześle, zagryzając wargi. – No chyba że nie jest to przypadkowość. Że z jakiegoś konkretnego powodu esencje, których układ przecież nie jest nawet stały w czasie, akurat układająby się w czystej równowadze.

– W teorii o magii taki stan nazywamy pełną spójnością z ea, czyli samą esencją świata, ale jest to pojęcie czysto teoretyczne, wykorzystywane jako swego rodzaju stała w obliczeniach i rozważaniach modelowych.

Zapadła cisza. Skra zerknęła dyskretnie na Najstarszego. Sprawiał wrażenie mocno zamyślonego. W końcu odwzajemnił jej spojrzenie. W jego oczach widziała przez ułamek sekundy coś na kształt przeblysku zrozumienia i... podziwu?

– Przychyłam się do tego, na razie jedynie, założenia. – Najstarszy również pochylił się nad stołem. – Tedorze, cieszę się, że mamy w naszym gronie tak potężny umysł teoretyczny.

Mistrz magii skinął lekko głową w podziękowaniu za słowa uznania.

– To oczywiście nasza robocza interpretacja, którą będziemy jeszcze rozważać, ale na dziś musi nam wystarczyć do podejmowania decyzji. Przechodząc do pozostałych spraw: mam dla was kilka informacji.

Najwyższy Szarim wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem obok stołu, z rękami założonymi za plecami. „No i tyle całej ceremonii, na którą się czeka siedem bolesnych lat” – refleksja, która przeszła Skrze przez głowę, nie miała w sobie żadnej goryczy. Radość i ulga z faktu zaprzysiężenia chwilowo wypierały jakiekolwiek inne odczucia.

– Za tydzień mamy, jak wiecie, zgromadzenie. – Zatrzymał się i omiół spojrzeniem siedzących. – Tym razem wezmę w nim udział.

Mentorzy poruszyli się zaskoczeni. Najstarszy niezwykle rzadko uczestniczył w zgromadzeniach, na których z reguły dyskutowano – i czasem decydowano – o sprawach bieżących plemienia, o nowych działaniach lub zaniechaniu starych, o większych sporach i konfliktach między klanami, a czasem także o problemach bardziej lokalnych, ale o ogólnym charakterze. Zwyczajowo prezentowani też byli nowo zaprzysiężeni qi-szamani. Mistrz lekceważąco podchodził do zgromadzeń. Miał w nich decydujący głos, ale często oceniał je jako „mielenie ozorami o niskim znaczeniu decyzyjnym”. Szarim byli do tego przyzwyczajeni, gdy więc Najstarszy pojawiał się osobiście, chociażby na wybranej części spotkania, zawsze wywoływał zaskoczenie, poruszenie i kularowe spekulacje.

– Ale na razie chciałbym, żebyście zatrzymali te informacje w waszym gronie.

Spojrzeli po sobie jeszcze bardziej zdumieni.

– A co takiego mamy w rozkładzie, żeby to aż tak przykuwało twoją uwagę, mistrzu? – Rejwan jak zawsze, zgodnie ze swoją porwyczą naturą, nie czekał z domysłami.

Najstarszy uśmiechnął się tajemniczo.

– Między innymi chodzi o postulaty Karana, którego frakcja zdobywa coraz większe poparcie.

Rejwan machnął nonszalancko ręką.

– Mistrzu, dobrze wiesz, że niezależnie, jak skutecznie ten chłoptaś będzie podżegał przeciw Wielkiej Przysiędze, nic mu to nie da. Jesteśmy jej wierni od prawie czterystu lat. – Wojownik założył potężne ramiona na piersi, wzgardliwie wysuwając dolną wargę.

– Nie o to chodzi, mój przyjacielu. – Mistrz znowu zaczął chodzić po pokoju. – Chcę wykorzystać zapal Frakcji Białych do ustalenia szczegółów pewnych zdarzeń z przeszłości. – Stanął i zamyślił się nad czymś. – A poza tym myślę, że mocno nie doceniasz tego „chłoptasia”. Pamiętaj, że nie jesteśmy monarchią, tylko strukturą klanową. Ale jest też inna sprawa. Sprawa, którą wniesie na obrady czuwającą.

Tym razem nawet Skra poruszyła się zaniepokojona.

– Mamy doniesienie o kolejnym tąpnięciu mocy na północnym wschodzie kontynentu. – Matowy ton głosu Najstarszego dobitnie świadczył o powadze zdarzenia.

– Jak duże? – zapytał Tedor prawie szeptem.

Mistrz popatrzył w zatroskane oblicze mentora magii.

– Niestety duże, bardzo duże.

– Na Jasność, to już trzecie tylko w tym cyklu. – Rejwan uderzył pięścią w dłoń, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy zafrosowania.

– Musimy więc podjąć radykalne działania – mruknął do tej pory milczący Wilko.

– Tak. I dlatego będę potrzebował waszej pomocy podczas zgromadzenia. Również twojej, szamanko.

Skra o mały włos rozdziawiła usta ze zdziwienia. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

Najstarszy podszedł do stołu, oparł dłonie o brzeg i dłuższą chwilę przyglądał się uważnie każdemu ze zgromadzonych. W powietrzu dało się wyczuć rosnące napięcie.

– Przyjaciele – zaczął tonem bardziej niż dotąd oficjalnym – obawiam się, że możemy stanąć w obliczu poważnego zagrożenia. Obawiam się też, że będzie to czas radykalnych decyzji. – Zwrócił się bezpośrednio do Skry: – Nie pytałem dotąd o twoje deklaracje dyscypliny. – Lekko westchnął. – I nie zapytam. Dołączysz do szamanów Orin. Jak już zauważyłaś, będziesz nosić białą szatę. Twoje imię, pod którym pozna cię świat, to... Winea.

Równie dobrze ktoś mógłby ją teraz zdzielić pałką w głowę. Ona szamanką Orin!? A więc resztę życia spędzi na tym przeklętym odludziu? I właściwie z czym związana jest biel szaty? Nigdy nie widziała takiego koloru elite. Będzie jak odszczepieniec, nawet tu. Dramatyczne myśli szalały w jej umyśle niczym gromy, niszcząc fundamenty jej dziecięcych marzeń. Wiedziała, że decyzje mistrza nie podlegają negocjacjom, mimo to nie potrafiła się powstrzymać przed jęknięciem:

– Ale ja nie mam doświadczenia, by uczyć kandydatów...

Najstarszy powstrzymał ją gestem dłoni.

– Nie takie będzie twoje zadanie. Od szkolenia adeptów mam mentorów, mądrych i wiedzących. Ty, Wineo, zostaniesz moim osobistym uczniem.

Nie miała pojęcia, co to tak naprawdę dla niej znaczy, w odróżnieniu od otaczających ją mentorów, którzy aż poruszyli się na swoich krzesłach. Potoczyła wzrokiem po ich twarzach, chcąc wyczytać z nich swój wyrok, zgodnie z którym miałyby zaakceptować przyszłość ograniczoną do tego skrawka świata. Wszyscy bez wyjątku wydawali się na równi osłupiali i poruszeni. Jedyną emocją, która mogła coś podpowiedzieć, był cień respektu i jakby zazdrości w twarzy Tedora.

– Wineo, przyjdź dziś wieczorem, po kolacji, do komnaty obok Sali Wiedzy. Omówimy twoje zadania. A teraz zostaw nas samych, proszę. Oczywiście nie muszę ci chyba mówić, jak ważne jest, aby wszystko to, czego byłaś świadkiem, nie wyszło poza nasze grono?

– Najstarszy miał tendencję do ucinania ewentualnych dyskusji samym tonem wypowiedzi.

Wciąż zszokowana i zdeorientowana rozwojem wypadków, dziewczyna ukloniła się sztywno zgromadzonym.

Gdy tylko wyszła bocznymi drzwiami, wiodącymi do pomieszczeń zajmowanych przez kandydatów, Frakir stwierdził stanowczo:

– Mistrzu, to imię... wybacz mi mój osobisty osąd twojej decyzji, ale to nie jest dobry wybór. Szarim zaczął szemrać, to pewne jak los mekona w potrzasku. Imiona pradawnych członków królewskiego Rodu Krwi nie powinny być ponownie używane. Nawet jeśli są to imiona z dalekiej przeszłości, część Szarim je rozpozna.

– A dodatkowo wyniesienie jej do pozycji twojego osobistego ucznia, gdy jest jeszcze siedemnastoletnią, zieloną jak szczypiorek qi-szamanką... – Rejwan pokręcił głową z dezaprobatą. – Relacje pośród szamanów ma z góry ustawione i nie zazdroszczę jej. Mimo całego zaszczytu, jakim jest zostanie twoim uczniem, rzecz jasna – dorzucił szybko.

– Cóż, jestem świadom tego, co ją czeka, ale uwierzcie mi, mam bardzo ważne powody podjąć dokładnie takie decyzje. – Najstarszy przysiadł na krześle z lekką rezygnacją. – A co do imienia: ważniejsze jest dla mnie, na ile ono oddaje osobowość.

„I przeznaczenie” – dodał w myślach.

– Ale to też mi przypomina, że kolejną sprawą, dla której was tu wezwałem, jest właśnie Winea i rola, którą dla niej określiłem. – Powiódł skupionym wzrokiem po zebranych. – Ta szamanka będzie bardzo potrzebowała waszego wsparcia, przede wszystkim tego niewidocznego. – Dostrzegłszy pytające spojrzenia, kontynuował: – Potraktujcie to też jako moją prywatną prośbę. Osobiście przedstawię Wineę na zgromadzeniu jako nową qi-szamankę, ale też mojego ucznia. Oficjalnie będzie działać nad ulepszeniem spraw ustroju naszego społeczeństwa, prowadząc prace badawcze i historyczne. To da jej dostęp do sfer polityki, zbiorów wiedzy, ale też możliwość za-

dawania dowolnych pytań bez zbędnych podejrzeń, a nawet poruszania się po całym kontynencie. Chcę, o czym wiecie wyłącznie wy i parę wtajemniczonych osób, by zbadała naturę jednego z miejsc na północnym wschodzie.

– Czy to ma jakiś związek z tym ostatnim tępnięciem? – spytał Tedor, upijając łyk chłodnej już herbaty.

– Możliwe. Ale wolałbym, żeby nie miało.

– Powiesz nam, o jakie miejsce chodzi, mistrzu? – Rejwan starał się mówić spokojnym tonem, ale widać było, że aż pali się do udziału w działaniach konspiracyjnych.

Najstarszy odchylił się na oparciu i przez chwilę obracał w dłoniach spodek razem z filiżanką. Zbierał myśli.

– Co wiecie o Wieży Dwóch Światów zwanej też Przejściem Królów lub Lustrzaną Komnatą?

Z oczywistych względów pierwszy odezwał się Tedor:

– To tylko legenda. Jedyne znane mi zapiski mówiące o tym mitycznym miejscu sugerują, że jest to swego rodzaju metateleporter dwukierunkowy, łączący Stary Kontynent Amadał z innym miejscem.

Najstarszy pokiwał głową potwierdzająco.

– Coś więcej? – Zachęcał wzrokiem pozostałych.

Tedor zmarszczył czoło, próbując odszukać w pamięci dodatkowe informacje.

– W jednej z pieśni mistycznych jest wzmianka o Przejściu Królów. To oczywiście poetycki tekst, ale wyraźnie z niego wynika, że skorzystać z tego teleportera może albo ktoś o niebywalej mocy, albo członek Rodu Krwi. Wieża miała być jednym z pobłogosławionych darów przekazanych ludziom przez bogów w czasach błogosławieństwa Ogromirów. Tak zwanym ósmym Wielkim Artefaktem. – Wzruszył ramionami.

– Czyżbyś, mistrzu, znalazł jakieś materiały potwierdzające istnienie tego miejsca? – Frakir żywo zainteresował się tematem, po-

dobnie jak Tedor traktując odkrywanie źródeł i istoty magii jako swoją życiową pasję. Szczególnie jeśli w grę wchodziły telepatia i teleportacja, związane ściśle z właściwościami umysłu. – Czy Winea ma właśnie odnaleźć te materiały?

Najstarszy uśmiechnął się wymownie.

– Nie, nie chodzi o materiały o Wieży Dwóch Światów. – Odczekał chwilę, trzymając zebranych w napięciu. – Chodzi o samą Wieżę.

Zszokowani szamani z niedowierzaniem spoglądali to po sobie, to na Najstarszego.

– Chcesz nam powiedzieć, że odkryłeś Przejście Królów?! – Rejwan aż wstał z miejsca.

– Ale to by znaczyło, o ile dobrze zrozumiałem Tedora, że tym drugim miejscem, z którym miałby być połączony Stary Kontynent, jest... nasz. – Wilko myślał na głos. – A to z kolei otwiera nam... na Jasność... – Zamilkł, nie chcąc już dalej wymawiać swoich wniosków na głos.

– Czy zdajesz sobie sprawę, mistrzu, z konsekwencji takiego odkrycia? – Tedor wyglądał na wstrząśniętego. – Dlaczego posyłasz do sprawdzenia twoich przypuszczeń akurat Wineę, a nie na przykład nas czy innych doświadczonych szamanów? Przecież to wyprawa poza Sid, jej pierwsza, notabene.

– Spokojnie, spokojnie. – Najstarszy próbował gestem ostudzić coraz gorętsze emocje mężczyzn. – Zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, co teraz przychodzi wam do głów. Opanujcie się. – Sam też wstał i znowu zaczął spacerować po pomieszczeniu. – Winea ma nie tylko odnaleźć Wieżę, ale też odkryć jej naturę. – Podszedł do jednego z regałów z mnóstwem zamykanych wnęk i wyjął wąską tubę używaną do przechowywania manuskryptów. – Tu macie swoje instrukcje oraz szkice map tamtych terenów. Winea potrzebuje najlepszego łowcy.

Wilko dał znak dłonią, że rozumie.

– A także wiernego sit, który będzie gotów oddać w jej obronie życie.

Rejwan potarł brodę, najwyraźniej wybierając w myślach wśród swoich ludzi odpowiedniego kandydata. Profesja osobistego ochroniarza nie była zbyt popularna wśród Szarim, a w randze sit, czyli zaprzysiężonego powiernika życia, miał jedynie trzech wojowników, łącznie spełniających kilka kryteriów sprawności i uzdolnień na poziomie mistrza: walka nożem, walka wręcz, szermierka wieloma rodzajami broni oraz zastawianie i rozbrajanie pułapek.

Gdy mentorzy pochylali się nad rozwiniętymi kartkami, Najstarszy kontynuował:

– Wszystko to muszą być też najbardziej zaufani ludzie, którym nic nie wymyslnie się o naszych wciąż domysłach i planach. Zdajecie sobie chyba sprawę, co by się stało, gdyby te informacje dotarły teraz i w takiej formie do Szarim czy nawet kręgu.

– Kiedy Winea ma ruszyć? – Rejwan podniósł wzrok znad papieru.

– Po zgromadzeniu, bez zbędnej zwłoki.

– Nie odpowiedziałeś nam, mistrzu, dlaczego wysyłasz na tę misję akurat ją – przypomniał Frakir.

– Ach, cóż. Hipoteza o idealnej równowadze wszystkich esencji w umyśle Winei zwyciężyła. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Zapewne tego nie wyczuliście, ale w trakcie testu ostatecznego przejścia w aurze Skry dokonała się subtelna, acz kluczowa zmiana. Ona jest inaczej... ukształtowana, niż była, gdy wychodziła stąd jako kandydat. Jej... jak to nazwałeś, Tedorze, spójność z ea?

Szaman potwierdził lekkim kiwnięciem głowy.

– No właśnie, więc jej spójność z magią natury jest teraz nie tylko pełna, ale też stabilna.

Tedor uniósł pytająco brwi.

– A nawet biorąc pod uwagę wyjątkowość tej cechy, jak to wpływa na wyznaczenie jej do tego zadania?

Najstarszy znowu przybrał lekko złośliwy uśmiezek.

– Ty mi to powiedz. Masz niecały tydzień, by przygotować Wineę do wykorzystania tej właśnie cechy w celu zdobycia informacji o Wieży.

Tedor aż prychnął, ale Najstarszy jak zwykle samym tonem wypowiedzi zamknął spotkanie.

– Wszystkie wasze bieżące obowiązki schodzą chwilowo na dalszy plan. Ta misja ma dla nas pierwszorzędne znaczenie.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Najstarszy pomyślał gorzko: „Gdybyście wiedzieli, ile sam ryzykuję, wyznaczając ją do tego zadania...”.

V. Sala Wiedzy

Nie miała ochoty na spotkanie teraz kogokolwiek. A szczególnie Eliota. Nie żeby go nie lubiła, wręcz przeciwnie – darzyła go największą sympatią ze wszystkich kandydatów przebywających obecnie na wyspie Orin. Właściwie byli nawet przyjaciółmi, jednak chwilowo desperacko potrzebowała spokoju, aby przemyśleć sobie wszystko. A poza tym musiała się spakować. Nawet jeśli miałyby nadal przebywać na Orin, nie mogła już pozostawać w obszarze pomieszczeń kandydatów. Niestety, nie da się niepostrzeżenie dotrzeć do swojego pokoju, jeśli ktoś po prostu czeka pod twoimi drzwiami.

– Ho, ho, ho, widzę, że jakiś kandydat przebrał się za szamana. – Smukły młodzieniec z ciemną czupryną gwizdnął przeciągle. – I to, proszę, proszę, za... – Na widok podchodzącej dziewczyny Eliot rozdziawił usta. Wytrzeszczał oczy, patrząc to na jej twarz, to na pas.

– No cóż, nie myślałam, że mój niefart może mieć też pozytywne skutki. – Winea stanęła dwa kroki przed drzwiami i przyjęła swobodną pozę z założonymi na piersiach rękami, opierając się ramieniem o ścianę. – Ale okazuje się, że biały kolor elite niesamo-

wicie oddziałuje na męczące przytyki nieopierzonych nowicjuszy. – Uśmiechnęła się lekko drwiąco. – Dałabym głowę, że blokuje im niektóre istotne zdolności myślowe i... jakoś tak dziwnie powoduje idiotyczny grymas na twarzy. – Sparodiowała minę chłopaka.

Eliot sapnął i zgrzytnął zębami, już szykując się do jakiejś kąśliwej riposty, ale ostatecznie uśmiechnął się i odpuścił. Przyjął za to lustrzaną pozycję naprzeciw Winei, próbując z kolei zmałpować typowo dziewczęcy sposób ułożenia sylwetki z lekko wypchniętym biodrem. Odwzajemniła uśmiech.

– Oj, Eliot, Eliot, nigdy nie dajesz za wygraną, co? – westchnęła zrezygnowana. – Wybacz, ale dzisiaj wyjątkowo nie mam nastroju na przekomarzania.

– A to nie dziś jakby jest ten dzień, na który czeka się siedem lat? Hmm, jakby ceremonia zaprzysiężenia czy jakoś tak? – Udawał, że próbuje sobie coś przypomnieć, po czym nagle spowaźniał. – A po drugie nie „Eliot”, tylko „szamanie Kalen”, proszę.

– Też ładnie. – Dziewczyna spróbowała go wyminąć, pokazując, że to naprawdę nie jest dobry moment na zawracanie jej głowy.

– Hej, no daj spokój. – Zatrzymał ją, chwytając za ramię. – Przyszedłem ci tylko pogratulować – dodał z chytrym uśmieszkiem. – A wiesz, tylko dwie osoby postawiły na to, że dasz radę za pierwszym razem. Zgadnij, kto za chwilę stanie się szczęśliwym posiadaczem aż dwóch dodatkowych nowiutkich księżyców.

– Postawiłeś na mnie TYLKO dwa księżyce!? – Winea poczuła się dotknięta do żywego, chociaż akurat nie wysokością zakładu, tylko faktem, że większość obstawiała jej porażkę. Nagły impuls, który normalnie by zignorowała, zlał się ze wszystkimi emocjami kotłującymi się w niej już od dłuższego czasu, dotąd bez możliwości rozładowania. – O wy zgniłe śledzie! – wybuchnęła nieadekwatnie gwałtownie do sytuacji. – Idź i powiedz tej całej zgrai, że mają ci dopłacić trzykrotność, bo nie dość, że wykonałam zadanie, którego nawet nie ośmielono się dać innym kandydatom, to jeszcze zosta-

łam szamanką Orin, z białym elite, którego nikt nigdy nie zakładał, a na ostatek mistrz mianował mnie swoim uczniem!

– Swoim uczniem? – Kalen znowu wybałuszył na nią oczy. – Ale przecież już nie jesteś uczniem, przecież zostałaś zaprzy...

– O S O B I S T Y M uczniem Najstarszego. – Winea zaakcentowała pierwsze słowo.

– Ale właściwie... co to znaczy? – Kalen drapał się po głowie i marszczył zabawnie brwi.

– A choćby to, że teraz jestem cholernie ważnym Szarim – kontynuowała, dając upust nagromadzonej frustracji. – Żałuj, że nie wiedziałeś min Rejwana i Tedora, gdy się dowiedzieli... – Dalsza wypowiedź utknęła jej w gardle. „Niech Mrok pożre moją głupotę i zbyt długi jęzor!” – nagła myśl chlasnęła jej świadomość parzącym biczem. „Szlag, szlag, szlag, ten pleciuga na pewno rozpowie wszystkim”.

– Kiedy by mieli się dowiedzieć? Przecież dopiero co wyszłaś z pomieszczeń Najstarszego. – Chłopak mierzył ją wzrokiem z rosnącym zaciekawieniem.

– Uch... – Winea wiedziała, że nie będzie teraz łatwo wykręcić się byle czym. Przed kim jak przed kim, ale na pewno nie przed Kalenem. – Słuchaj, mam za sobą naprawdę paskudne dni, bolesne spotkania z wkurzonymi lotardami i szokujące decyzje niektórych ludzi, które właśnie wywracają moje życie do góry nogami. Byłabym ci dozgonnie wdzięczna, gdybyś dał mi chociaż dojść do siebie.

Chłopak przygryzł wargę i kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Zdradź przynajmniej, jaki rodzaj magii oznacza ten biały elite.

– A myślisz, że mam o tym jakiekolwiek pojęcie? – Wzruszyła ramionami. – Ale i tak nie mogłabym ci nic powiedzieć, bo Najstarszy nakazał zachować bezwzględne milczenie. Jak go znam, kazałby mnie obedrzeć ze skóry, gdybym coś pisała. Nawet sam fakt, że ci to teraz mówię, jest niebezpiecznym naciąganiem struny.

– Znaczy się duża sprawa. – Kalen mlasnął i się zamyślił. – A może chcesz, żebym przyłożył ucho tu i tam? No wiesz...

Energicznie zaprzeczyła.

– No to spotkamy się już po drugiej stronie – zakończył, patrząc na nią w ten swój charakterystyczny sposób, sprawiający, że zaczynała się zastanawiać, czy ich relacja to aby tylko przyjaźń.

– Tak, do zobaczenia po drugiej stronie – odrzekła równie ciepło utartym powiedzeniem kandydatów uzyskujących tytuł qi-szamana i otworzyła drzwi do swojej izby.

Gdy została sama, odetchnęła głęboko, próbując pozbierać w jakikolwiek porządek myśli i emocje.

Spojrzała na świetlik pokazujący na ścianie porę dnia. Niewielka plamka jasnego światła słonecznego, które szeregiem wąskich kanałów przewierconych przez skałę docierało do wyżłobionej sekwencji kresk, wskazywała dwie miary czasu do kolacji. Rozejrzała się. Skromny wystrój, niewielki stół z krzesłem, kilka wnek na ubrania, proste drewniane łóżko, specjalny stelaż do ćwiczeń, mały stojak na broń. Poczowała delikatne ukłucie żalu. Rozstawiała się z czymś, co tworzyło swego rodzaju dom przez prawie połowę jej życia, jakkolwiek pustelniczo by on wyglądał. Pomyślała, że „pakowanie się” to w tym przypadku zbyt wyniosłe pojęcie. Całość jej dobytku zmieści się w jednym niedużym worku podróznym, a wrzucenie wszystkiego zajmie dosłownie chwilę. Teraz, gdy była już poza rygiem rytmu dnia wypełniającym szczelnie życie każdego z kandydatów, musiała zastanowić się sama, jak wykorzystać te ponad dwie godziny pozostałe do spotkania z Najstarszym. Jako qi-szamanka nie musiała też uczestniczyć w kolacji, z czego postanowiła skwapliwie skorzystać. „Zdaje się, że czeka mnie jeszcze tyle ochów i achów na widok koloru moich szat, że przesunięcie tego o jeden dzień bardzo mi się przyda”. Skrzywiła się na samo wyobrażenie tych setek spotkań z innymi Szarim, a być może nawet ze zwykłymi Darzanami, którzy będą wlepiać oczy w jej pas i robić durne miny. Przyszło jej na myśl, że chyba najrozsądniej będzie wstępnie zorientować się co do swojej nowej roli. Błefowała

w rozmowie z Kalenem – tak naprawdę nie miała bladego pojęcia, co oznacza bycie uczniem Najstarszego.

Spakowała się szybko i ruszyła do Sali Wiedzy, w której zgromadzono wszelkie książki, mapy i zwoje, a także specjalne podręczniki dla kandydatów. Usiadła przy jednym ze stolików, czekając, aż pojdzie do niej Keor – wiedzący opiekujący się zbiorami, bez którego zgody nie wolno było niczego przeglądać. Nawet Najstarszy, gdy potrzebował jakiegoś egzemplarza, zawsze prosił Keora o konkretny tytuł lub propozycję pozycji mogącej zawierać interesujące informacje. Lubiła specyficzną woń tego miejsca, której nie mogła porównać z żadną inną. Czasem nawet, gdy nikt nie widział, wahała pergamin i skórzane okładki ksiąg. Jak na podziemne pomieszczenie Sala Wiedzy była bardzo jasno oświetlona ciepłym blaskiem sufitowych kasetonów, podobnych jak w pomieszczeniach Najstarszego, tyle że jaśniejszych.

Łysy szaman zjawił się po chwili. Spojrzał pytająco na dziewczynę, marszcząc brwi na widok pasa i klamry.

– Czego potrzebujesz, Szarim? – spytał rutynowo, chociaż jego oczy nie odklejały się od elite Winei.

– Witaj, wiedz... Witaj, Keorze – poprawiła się. – Czy mógłbyś, proszę, odpowiedzieć mi, gdzie znalazłabym jakieś informacje o...

– Zastanowiła się przez chwilę, jak to określić. – ...byciu uczniem Najstarszego?

Wiedzący otworzył szerzej oczy, po czym znów skupił wzrok, tym razem na ke Winei. Jego poorana zmarszczkami twarz wyrażała szybkie kojarzenie faktów, a następnie pogłębiające się zdumienie. Milczał pogrążony w zamyśleniu.

– Przyniosę ci zaraz jedną czy dwie pozycje.

Podreptał między wysokie regały ciągnące się szeregiem w dodatkowych korytarzach przyległych do sali. Gdy wrócił, niósł aż trzy różnej wielkości książki, a pod pachą – tubę na manuskrypty.

– Pomyślałem sobie... Szarim...

Uświadomiła sobie, że wiedzący nie używa jej nowego imienia, bo się nim nie przedstawiła, a zgodnie ze zwyczajem, zobaczywszy nowicjat, nie chce jej urazić, posługując się starym. Przeklęła się w duchu za swój brak taktu.

– ...że może cię zainteresować też nieco informacji o regułach sprawowania władzy w Sid.

„O sprawowaniu władzy w Sid? A do czego mi ta wiedza?” Zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić jakiegokolwiek sensownego kontekstu. Wzruszyła ramionami.

– Keorze... Wybacz, nie przedstawiłam ci mojego imienia. – Poczowała skrępowanie, bo przecież знаła go bardzo dobrze i nawet lubiła mimo jego chłodnego dystansu. – Otrzymałam na ceremonii imię Winea.

Stary szaman po raz trzeci okazał zadziwienie. Tym razem oczy niemal wychodziły mu z orbit – otwierał je bardziej i bardziej, trawiając to, co usłyszał. Przez chwilę wydawało się nawet, że otworzy też usta, co byłoby pewnie miną stulecia w jego przypadku.

– Keorze... Czy powinnam wiedzieć coś na temat mojego imienia Szarim? – Zaczynała się niepokoić, że istnieje jeszcze jeden powód stania się największym dziwakiem w plemieniu.

– Eee... Wineo. – Starzec pocierał dziwnie nerwowo swoją łysinę. – Twoje imię... hmmm... Może usiądźmy.

Opadł na jedno z krzeseł. Badawczo jej się przyglądał.

– Nie rozumiem niektórych decyzji mistrza – zaczął, jakby mówił sam do siebie. – Nie nadaje się nikomu imienia, które nosił już ktoś pobłogosławiony. – Zobaczywszy brak zrozumienia i niepokój u Winei, odchrząknął, wyraźnie szykując się do dłuższej opowieści.

– To imię jednej z królowych Rodu Krwi. To oczywiście zamierzała przeszłość, jeszcze gdy ród panował wyłącznie na Amadal, czyli Starym Kontynencie. Winea jest dość... hmmm... tragiczną postacią w historii dynastii. Edward Szarowłosy miał trzech synów. Jak wiesz, pierwszeństwo przejścia próby uświęcenia na tronie mocy

i odziedziczenia władzy miał najstarszy, ale, jak to często w dziejach bywa, pozostali pretendenci mieli własne ambicje i nie czekali biernie na rozwój wydarzeń. Po śmierci Edwarda Dargbor, najmłodszy z synów, sprowokował pojedynek starszych braci na tyle skutecznie, że obaj jego konkurenci zmarli z powodu odniesionych ran. Istnieje nawet domniemanie, że osobiście pomógł im w przejściu do chwały Jasności. Jak się później okazało, od jakiegoś czasu pozostawał pod wpływem jednego z bóstw mroku i gdy jako jedyny królewski potomek zasiadł na tronie mocy, ten mistyczny artefakt zamiast uświęcić, prawie spalił go żywcem. Prawdopodobnie to samo bóstwo, które skaziło błogosławioną krew, ocaliło go, pomagając przetrwać straszliwe oparzenia, chociaż świadkowie, którzy mieli później okazję ujrzyć Dargbora, mówili, że jego ciało pozostało strawione i nigdy się nie zagoiło.

– A jak pojawiła się w tym Winea, skoro nie było żadnego następcy Krwi? – rzuciła pytanie, wykorzystując pauzę Keora.

– Ano, właśnie. Na Starym Kontynencie, jak zresztą powinnaś wiedzieć z moich nauk, przerwanie ciągłości panowania Rodu Krwi oznaczałoby wojny i chaos. Zbyt wiele innych ras ma w naturze krwawą ekspansję. Ponieważ starsi bracia zginęli bezpotomnie, najbliższe otoczenie króla podjęło szeroko zakrojone poszukiwania domniemanej córki Dargbora z nieślubnego łoża, bazując jedynie na zasłyszanej pogłosce o jej istnieniu. Wszystkie dziewczynki, na które padło podejrzenie, że mogą być potomstwem królewicza, poddawano próbie uświęcenia.

– Ale przecież... na Jasność, wszystkie te nieprawdziwe musiały podobnie spłonąć! – Winea była przerażona. Starzec pokiwał tylko smętnie głową.

– Owszem. Nazwano nawet ten akt rozpaczliwego okrucieństwa próbą siedmiorga. W końcu, po wielu miesiącach inwigilacji i sprawdzania różnych tropów, daleko na północy, na bagnach, odnaleziono jeszcze jedną kilkunastoletnią kandydatkę. Mimo opo-

rów jej i jej matki zabrano dziewczynkę do stolicy. Tron uświęcił ją, obdarzając mocą Rodu Krwi, ale tu kończą się dobre informacje.

– Tak jakby śmierć królewskich synów, oblędy jedynego następcy, spalenie siedmiorga niewinnych dzieci i odebranie matce niczego nieświadomej córki były dobrymi informacjami. – Winea westchnęła, czując już nadchodzące kłopoty związane z jej imieniem.

Keor milczał, dobierając w myślach słowa.

– Skoro tak to widzisz, pominę zatem komentarz o reakcji arystokracji i samego ludu na wieść o tym, że ich władcą ma zostać nastoletnia dziewczynka, dziki, niewykształcony bękart człowieka skażonego mrokiem, a także mieszaniec półkrwi.

Teraz z kolei szamanka wytrzeszczyła oczy.

– Mieszaniec? A z kim była zmie... znaczy spokrewniona? – Czuła suchość w gardle.

– Hmm, nie wiem, czy forma „z kim” jest tu odpowiednia. – Starzec oparł się o stolik, ścisząc nieco głos. – W jej żyłach płynęła krew Arrakinów, choć ponoć wygląd jej matki wskazywał, że ona sama też była mieszańcem.

– Na tronie Rodu Krwi zasiadała kiedyś pół-Arrakinka?! – Winea nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Szaman wzruszył tylko ramionami.

– W ramach twojej edukacji historycznej nie było miejsca na takie szczegóły. Tak czy inaczej, najgorsze było co innego. – Nieznacznie poprawił się na krześle. – Jej ojciec, który wówczas przyjął już pod wpływem mroku imię Semael, na wieść o tym, że na tronie zasiadła jego córka, wpadł w straszliwy gniew. Wykorzystując czarną magię, podjął próbę zgładzenia wtedy już Winei, ale, jak można przeczytać w kronikach, ostatecznie nie był w stanie zabić własnego dziecka. Nigdy nie dowiemy się, czy chodziło o to, że nie mógł się na to zdobyć, czy po prostu uświęcona młoda królowa posiadała już moc zdolną oprzeć się jego magii. W każdym razie rzucił na nią przewrotnie okrutną klątwę. Każdy mężczyzna,

którego dopuści do swego łoża, miał zginąć w przeraźliwych męczarniach.

– Jak on wymyślił coś tak... – Szamanka szukała odpowiedniego słowa, ale nie znalazła niczego satysfakcjonującego. – No i jak udało mu się osadzić takie zaklęcie w czasie w otoczeniu kogoś pobłogosławionego?

Keor wzruszył ramionami.

– Nie sposób dziś ustalić, na ile to faktycznie była prawdziwa klątwa, a na ile tylko złowróźbna obietnica, jednak rezultat był zgodny z zamiarami Semaela: wszyscy kochankowie jego córki bardzo szybko ginęli w budzących grozę okolicznościach.

– Uch. – Winea czuła, jak robi jej się gorąco. – Czy ta wiedza jest znana innym Szarim? – zapytała, ale nie liczyła zbytnio na zaprzeczenie.

– No cóż. – Wiedzący popatrzył na nią ze współczuciem. – Obawiam się, że niektórzy starsi dość dobrze znają historię Amadal, przynajmniej na poziomie podstawowych faktów. Mogą też znać romantyczny wątek losów królowej. – Ujrawszy pytające spojrzenie dziewczyny, niepewnie kontynuował: – W jej otoczeniu pojawił się mężczyzna, który okazał się wielką miłością monarchini, zresztą odwzajemnioną. Trestin, dowódca stołecznego garnizonu w Oroburku, bo o nim tu mowa, przez wiele lat był nieskonsumowanym kochankiem, ale gdy królowa dobiegała wieku, w którym kończył się jej czas możliwości pozostawienia potomka, postanowił położyć na szali swoje życie i sprawił, że stała się brzemienną. Ktoś замуrował go w bloku zaprawy używanej do wzmacniania zewnętrznych fragmentów fortyfikacji w taki sposób, że musiał jeszcze długo żyć, bo cała powierzchnia muru pokryta była licznymi śladami krwi. Po narodzinach dziecka, kolejnego dziedzica Rodu Krwi, Winea rozkazała postawić przy jednej z baszt Oroburka makabryczny pomnik. Sylwetka Trestina została wyrzeźbiona z tego samego bloku, w którym został uwięziony, i to tak, by zachować jak najwięcej krwawych nacieków.